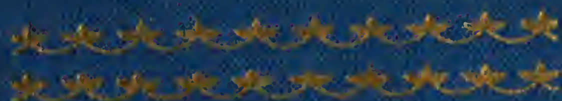


ROMANOWSKI



POEZYE







M. ROMANOWSKI.

Tom I.

POEZYE

MIECZYSŁAWA ROMANOWSKIEGO

ZEBRAŁ I UŁOŻYŁ

JAN AMBORSKI.

TOM I.

LWÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA
1883.

Z drukarni „Gaz. narod.“ J. Dobrzańskiego i K. Gromana.

Przedmowa.

Mija właśnie dwadzieścia lat, jak śmierć porwała jednego z najbardziej utalentowanych następców najświetniejszej epoki naszego piśmiennictwa.

Mieczysław Romanowski umilkł w chwili, gdy talent jego zmężniał, nabrał niepospolitej siły i prostoty, a otrząsnąwszy się z wszelkich wpływów, zdołał wytworzyć sobie własną drogę. A chociaż jego poezje nie dobiegają wyżyn, do których dosięgły utwory naszych wielkich wieszczów, zajmą jednakże w piśmiennictwie polskiem poczestne miejsce nie tylko dla zalet formy, ale dla najszlachetniejszych dążności myśli i niezwykle głębokiego, przeczystego i podniosłego uczucia.

Przedwczesna jego śmierć jest przeto nieodżałowaną stratą, tem większą, że opłakiwać należy nie tylko poetę ale i człowieka. Jeden i drugi pozostawili idącym pokoleniom spuściznę wielkiej istotnie ceny: każdy bowiem utwór poety jest zarazem szlachetnym uczynkiem człowieka, który życiem i śmiercią stwierdził to, co głosił.

Nie jest wszakże moim zamiarem, ani też szczególny zbieg okoliczności pozwala mi podać na tem miejscu wyczerpujący życiorys poety i ocenę jego stanowiska w piśmiennictwie naszem. Zamknąć się muszę w wyjaśnieniu kilku szczegółów tyczących się niniejszego wydania.

Gdy rodzina i nakładcy powierzyli mi papiery pozostałe po ś. p. Mieczysławie Romanowskim, stanowiły one 4 zwoje, zawierające kilka zeszytów, książeczek z notami i bardzo wielką ilość luźnych kartek, świstków, kopert itp., na których znajdowały się ułamki zupełnie pomieszane różnych utworów.

Potrzeba było długiej, mozolnej pracy, aby z tych urywków porozrzucanych tu i ówdzie, z dwu lub czterowierszowych ustępów zanotowanych na oddzielnych kartkach, zestawić jakąkolwiek całość.

Wyczerpnąwszy rękopismienny zbiór, zwrócić się należało do przyjaciół i znajomych poety, którzy posiadali większe lub mniejsze zbiory prac Romanowskiego, czego też nie zaniedbano dopełnić.

Nakoniec zrobiono odpisy z »Dziennika literackiego«, »Nowin«, »Dzwonka«, w których poeta swoje utwory umieszczał, a potem z »Ruchu literackiego«, »Tygodnia«, »Czasu«, gdzie ukazywały się one w ostatnich czasach.

Zebrano więc starannie najdrobniejsze nawet ślady działalności literackiej poety.

Z rękopiśmiennego zasobu udało się złożyć znaczną ilość utworów większych lub fragmentów. Jedne z nich, jakkolwiek zawierają piękne ustępy, są próbami, które zdaniem mojem należało zostawić w tece. Inne, jak też większych rozmiarów fragmenta, znajdzie czytelnik w odpowiedniem miejscu niniejszego wydania.

Mógłby mi kto zarzucić, że tu i ówdzie umieściłem utwory słabsze; jedne z nich wszakże drukował był w czasopismach sam poeta, inne charakteryzują nieznaną stronę talentu autora, inne nakoniec uwidoczniają albo jego rozwój, albo nowy kierunek myśli.

Żeby właśnie ten rozwój talentu poety wykazać, ułożyłem poezje porządkiem chronologicznym, o ile datę na oryginale znalazłem, lub też numer czasopisma, w którem drukowane były, czas oznaczał.

Wszystkie zaś utwory podzieliłem na gromady: na czele pomieściłem liryczne, potem idą te, które w żaden wybitny dział liryków wejść nie mogły, następnie zajęły miejsce poematy większe charakteru epicznego, na końcu zaś dramatyczne.

Co do poprawności wydania, trzymałem się zasady: drukowane już poezje daję według ostatniego pod okiem poety dokonanego prze-

druku; niedrukowane zaś albo według poprawnych a przez przyjaciół poety dostarczanych mi odpisów, lub też, porównawszy 3, 4 a czasami 5 znalezionych w papierach rękopisów i przeróbek, wybierałem ostatnią według daty, albo tę, która mi się co do formy i treści ostateczną wydawała redakcją.

Pisownia również przedstawiała trudności. Romanowski bowiem zmieniał ją ciągle, w miarę jak nowe prace i osobiste studja pozwalały mu sąd swój wyrobić. Zatrzymałem przeto pisownię poety, starałem się tylko o jak największe jej ujednostajnienie, nie doprowadzając wszakże do naruszenia rymu i rytmu.

We wszystkich tych kwestjach porozumiewałem się z p. Mieczysławem Pawlikowskim, jednym z najbliższych i najserdeczniejszych towarzyszy i przyjaciół poety, któremu za cenne wskazówki i nadesłanie licznych a niedrukowanych utworów uprzejme składam dzięki.

Winienem również wyrazić tutaj moję wdzięczność p. Ludwikowi Wolskiemu, także węzłami przyjaźni z M. Romanowskim złączonemu, za odpisy posiadanych a nieznanych poezyj, z których, o ile się dało, skorzystać nie omieszkałem.

Jan Ambocski.

I.

Modlitwa.

Podaj, oh! podaj czarę mi ową
Którą ci, Panie, w noc ogrojcową
Anioł podawał w światłości!
Tam był jad bolu — i mnie ból pali —
Żółć — i mnie ludzie żółć podawali,
Ale ja pragnę miłości...

Bo z nią jak piorun niebios twych błysnę,
Z nią, jako promyk w noc dusz się wcisnę; —
Z nią, jako gołąb ów biały
Lecąc, na spiących w skrzydła uderzę,
Obudzę, — potem na jasne leże
Rój duchów zawiodę cały.

15 listopada 1857.

Straszno mi, Boże!

Straszno mi wielce, bo osamotnione,
Namiętne serce rozdziera się we mnie;
Bo wiecznie pełne — pełne a spragnione
Jej — ach jedynej! — a wiecznie daremnie!
Bo bez niej nie ma nic z mojej młodości,
I pierś mi pęka, a pęknąć nie może...
Bo tak po ziemi iść bez wzajemności...
Straszno mi, Boże!

A gdy ściśnięte serce we mnie zaśnie,
Mogilny pacierz ducha mi otacza;
Czuję w nim, jako serc tysiące gaśnie,
Jako tysiące drugich klnie, rozpacza!
Praojców wielkość w pokoleniach znika;
Co kocham — z mogił powstać mi nie może,
I w podłość tyje ludów tłuszcza dzika.
Straszno mi, Boże! —

Więc każdy piorun, co grzmi i zapala,
Witam jak brata na niebios lazurze;
Orła każdego, co powraca z dala,
Pytam, ile jest gromów w czarnej chmurze,
I drżę, gdy ptak mię pomija w milczeniu,
Bo nam na gromy długo czekać może,
Bo bez piorunów w takiem utrapieniu
Straszno mi, Boże! —

Potem szarpany bolem i skrwawiony
Rzucam się w błękit, aby mię obwinął;
Bo wówczas czuję, żem anioł strącony,
Co stał na straży — a Tyś go pominął,
I radbym stanął tak przed Twe oblicze,
Któreś Ty ukrył po za słońca... zorze...
A niebo wiecznie zimne, tajemnicze...
Straszno mi, Boże!

10 grudnia 1858.

*
*
*

Idzie ku nam, idzie Pan już w chwale,
Utęsknione serce Go przeczuwa,
Drży przyroda, niebo się zasuwa,
Lilja chowa kwiat we wód krysztale,
Sprawiedliwy idzie ku nam w chwale!

Wstańcie smutkiem do mogił przykuci!
Coście niemi? co was lęk przechodzi?
Idzie Ojciec, ziemia się odrodzi,
Zmartwychwstania dreszcz ze snu ją cuci,
Wstańcie smutkiem do mogił przykuci.

Biada zbrodniom! już je anioł waży
Zawieszoną na niebiosach wagą;
Przy nim drugi stoi z szablą nagą,
A gniew boży płonie mu na twarzy;
Biada zbrodniom! już je anioł waży.

On tę szablę ognistą połamie
Na tysiące — i z góry ją rzuci;
Błogo temu, co się dotąd smuci!
Jako szermierz ma zbawienia znamię,
Już rycerskie jutro wzniesie ramię.

Jutro burza, jutro ryknął gromy!
Pan je wszystkim nad głową zapali,
Pan zbrodniarza oczom niewidomy
Jutro z prochem zrówna jego domy,
Piorunami z tronu go powali.

Chwała Panu, idzie ku nam w chwale,
Utęsknione serce go przeczuwa,
Drży przyroda, niebo się zasuwa;
Anioł spuścił na dół zbrodni szalę,
Sprawiedliwy idzie ku nam w chwale.

1862.

II.

Spotkanie.*)

Czem jesteś śmierci? snem ty, czy nicestwem?
Rok w rok w twe ręce kłonią się miljony,
Noc tajemnicza nad twojem królestwem,
Tam idą, z tamtej nikt nie wraca strony,
Nikt jednej wieści nie poda o tobie;
Lud myśli, żeś ty snem znużonych w grobie.

Czemkolwiek jesteś, zawsze ręką twoją
Przynosisz pokój dla znękanej głowy.
Jużeś od dawna towarzyszką moją,
W bolu dziwnemi cieszącą mię słowy:
Czasem się jawisz piękna, zadumana,
Iż, patrząc, myślę, żeś aniołem Pana.

---

*) Pod tym tytułem znaleźliśmy w papierach wiersz niniejszy, którego równobrzmiący odpis przesłała nam osoba licząca się do najbliższych przyjaciół poety. — Odpis ten zatytułowano jako Wstęp do »Nowej znajomości«. — Sądzimy, że to są opracowania jednej myśli i że zestawienie tych dwóch poematów nie jest rzeczą do pominięcia: dla tego podajemy ów wiersz, zostawiając tytuł dany przez poetę.

(Przyp. Wydawcy.)

Razem cię widział jak dziewicę grecką,
Idącą ku mnie z ciszą i powagą,
Los mi był wtedy serce zwiódł zdradziecko
I wbił w nie rozpacz — życia prawdę nagą;
Tyś przyszła — z świętem słowem pocieszenia,
A kiedym powstał — rzekłaś: — »Do widzenia«.

Z czemże dziś? co mi niesiesz, zadumana?
Znów smutnem męztwem przychodzisz mię zbroić;
O senna! jeśliś posłanniczką Pana,
To wiesz, czem wrzące serce uspokoić.
Jeśli chcesz? zgaś je — znasz jego cierpienia...
Ty idziesz — i znów smutno — »Do widzenia«.

O do widzenia na polach!... Stój chwilę!
Prawdaż w twem słowie? mnogoż dni ubieży?
Gorące serce złud doznało tyle,
Że nawet, śmierci! tobie już nie wierzy;
A tak wierzyło niegdyś w dziwy jasne,
Gdy ziemię w blaski ubierało krasne.

Idź a pamiętaj. Lecz jeśli w proch runie
Wszystko — i jeśli przyszłość znowu skłamie,
Wtedy przyjdź do mnie w grobowym całunie
Naga, i podaj znużonemu ramię,
Bym poszedł z tobą pod cmentarne drzewa
Z pieśnią jak łabędź, co konając śpiewa.

Bo co mi tu trwać? czy żebym się skarżył?
Posępne skargi nucić jam za dumny:
Kto raz się orłem pod błękitem ważył,
Ten z góry może wpaść tylko do trumny,
Temu nie wolno z gadem siąść przy stole
I pić — i czarą koić wielkie bole.

Nie! ty mię weźmiesz ztąd! — duch roztęskniony —
Pójdę za tobą szybko od niewoli,
A ty mnie prowadź w jakie zechcesz strony,
Ku posępniejszej, czy ku lepszej doli,
I wszystko przyjmę i nie będę skarżył,
Szczęśliw, żem orłem do końca się ważył.

Jeśli utonę z tobą wśród promieni
Z tęsknotą moją, co jako mgła ranna
Wstająca z naszych jezior i strumieni
Wstanie i Bogu zmieni w płacz Hosanna,
Jeśli aniołów i świętych śpiewanie
Przemieni nagle w srebrne łzy i łkanie,

W onczas rozkaże Bóg, niech mię wygonią —
Smutnego ducha — z niebios, gdzie brzmi chwała,
I nad ojczystą utkwić każe błonią,
Nad ziemią, w której żałość we mnie wrzała.
Skłonię się Bogu za wyrok — duch lotny —
I nad ojczyzną pójdę tkwić samotny.

Tam będę uczył płaczu — chmurki białe,
Spiewaków pieśni — tęsknych szumów boru,
Aż się roztęsknią pokolenia całe,
I będzie rzadki śmiech — na kształt upioru;
To w onczas syci tej barwy grobowej
Moi powstaną i porwą okowy.

Nowa znajomość.

Stałem w jasne zapatrzony zorze,
We wieczorną Karpat aureolę.
Cisza była na polach i w borze,
W mojem łonie przycichały bole;
Zapomnienia tknięte ręką białą,
Serce z niebem i ziemią się zlało.

Ciche lilje, zdobiące strumienie,
Woń z mych marzeń wzięły i śnieg biały.
Smutek duszy wzięły borów cienie,
Fale pieśni moje powtarzały;
Do stóp mi się kłoniąc po kolei,
W smutne pieśni lały dźwięk nadziei. *)

---

*) W utworze tym drukowanym po raz pierwszy w roku 1858 w lwowskim »Dzienniku literackim«, brzmiały powyższe dwie zwrotki początkowe jak następuje:

Stałem, dumki snuły się po czole,
Lekko, jako w jesień pajęczyna,

Więc po gwiazdach rzuciłem oczyma,
Po świecącej niebieskiej krainie.
Tak przez morza błądzi wzrok pielgrzyma,
Nim korabiem z zatoki wypłynie,
Nim porzuci ziemię, ojców domy...
Tam za morzem kraj dlań nieznajomy.

I zbliżyła się do mnie dziewica,
W czystej bieli, z zadumanym wzrokiem.
Jak posągi greckie miała lica,
Szła poważnie w myśleniu głębokiem;
Szła i postać nachyliwszy wiotką:
»Jam śmierć twoja« — rzekła do mnie słodko.

Mgły owiały w dali szare pole,
Bo zachodu minęła godzina.
Tylko niebo od zorzy rumiane
Zdało mi się jak ja zadumane.

Bo są w życiu chwile świętej ciszy,
Że się dusza w przyrodzie odbija:
W szumie borów swoją myśl usłyszy;
Jej marzeniem rozkwitnie lilija,
Niebo spłonie... ale to się dzieje,
Gdy duch kocha, cierpi, ma nadzieję.

»Lewą ręką serce uśpię twoje,
Jako matka usypia dziecinę;
Prawą oczu przysłonię ci dwoje,
Skrzydła duszy wolno ci rozwinę,
I ulecisz od bolów jak płomień
W światło, w życie wieczne — nowy promień.« *)

»Niegdyś — rzekłem — niegdyś mi wróżono,
Że mą duszę weźmiesz z pola chwały.
Jeszcze nieba gromami nie płoną;
Czekaj jeszcze, piękny cieniu biały,
I na polu bitwy o mnie spytaj.
Teraz — nowa znajoma mi — witaj!«

Stała milcząc, a nad nami w górze
Z za obłoku księżyc się wyłonił.
Do pół skronią oparty na chmurze,
Na tę białą łzy promienne ronił,
Na jej uśmiech senny, na spojrzenia —
I odeszła mówiąc: »Do widzenia!«

1858.

---

*) Warjant:
I ulecisz swobodny jak promień,
W światło, w ciszę wieczną — nowy płomień.

Anioł upadły.

Fantazja.

Z głębi piekieł, potężnym czarnych skrzydeł lotem
Wzniósł się anioł upadły w przestrzenie bez końca.
Za pychę niegdyś bożym powalony grzmotem,
Lecąc, potrącał gwiazdy i zaćmiewał słońca.
Skrzydeł dwoje, ostatki seraficznych znamion,
Jak dwie chmury, noc siejąc, wiało mu u ramion;
Ozłocić je wyleciał na dalekie słońca
Król nocy bez końca.

Jasność znikała przed nim; — w przestrzeń bezgraniczną
Rzucał się miljon razy za jednym promieniem,
I miljon razy spadał w swoją noc dziedziczną,
I miljon razy wstawał, zolbrzymion pragnieniem. —
Kto kochał niekochany, kto z potęgą w duszy
Strącon był z drogi chwały a pamięć zachował,
Kto świat miłością ducha swojego osnował
W tęczę, i z szczytu marzeń spadł w nicość codzienną;

W kim zemsty niespełnionej szereg lat nie zgłuszy...
Nie, ten jeszcze nie pojmie tych żądz, tych katuszy,
Które ma anioł ony na wieczność bezdenną,
Straszną — nieodmienną!

Daremny lot! — powietrzne opadły mu wiosła,
Zachwiał się i na ziemię runął król ciemności;
Ale w dumie, która go w nieskończoność niosła,
Nie wyrzekł się i teraz straconej jasności...
Powstał wyniosły, piękny wyrazem oblicza,
W oczach mu znów gorąca odżyła namiętność,
Na czole strasznych myśli władza tajemnicza
Wyryła jak w marmurze odwiekową smętność;
I w postaci miał dawną niezłamaną dzielność,
Spiżem w piersi mu stała nieprzeparta wola...
W nim i przed nim okropna rosła nieśmiertelność.
Tak stał — a słońce właśnie zapadało w morze,
Wieczorny chłód i wonie płynęły przez pola,
Z niebios się rubinowe zesuwało zorze,
Gwiazdy błysły i mleczna rozlała się droga;
On ją znał, bo po nad nią tron żywego Boga!

Skałę, gdzie stał on anioł, i morskie wybrzeże
Owiały szmery z srebrnej wznoszące się pary.
Łzy to były, westchnienia ludzkie i pacierze,
Woń ziemi słana Bogu w niebo na ofiary.
Wzdrygnął się, ale słuchał jak je lotne posły —
Wietrzyki — podmuchami ku niebiosom niosły;

Patrzył, jak gwiazd promyki drgające w eterze
Brały je, jak je sfera podawała sferze...
Coraz wyżej, w świat nigdy nie ćmiony obłokiem...
Tam za niemi on anioł pognał jeszcze wzrokiem
Aż w Majestat!... Tam w czystym, świetlanym
[lazurze,
W kształt jaskółek, co muszki łowią po nad tonie,
Krążyli aniołowie i chwytali w dłonie
Westchnienia: te w ich rękach zmieniały się w róże,
Inni zaś przemione łzy w sznurki perełek,
Inni pacierz, co lilją rozkwitł lub fiołkiem,
Brali, u skroni wili albo u skrzydełek,
I tak we światłość gonił anioł za aniołkiem.
A gdy przed tronem Boga sypali te kwiaty,
Swięte hymny się w niebach rozległy chórami:
Stworzone i na »Stań się« rodzące się światy
Śpiewały: »Chwała Panu nad Panami!«...

Wonczas upadły anioł pochylił oblicze
Wielkie, posępne, śniade jak księżyc zaćmiony,
W piersiach mu grały wspomnień dźwięki tajemnicze
Jak łoskot fal na morzach wichrami zbudzony;
I po raz pierwszy, odkąd stracił szatę złotą,
Dumy zabył, przejęty aż do dna tęsknotą;
I uczuł, jak szczęśliwym można być w pokorze,
Jeżeli ona z świętej wykwitła miłości...
Ach! bo i on tak niegdyś spiewał dzieła boże,
Światom »Stań się« roznosił po nieskończoności;
Kochał tak!... Teraz westchnął za tem z całej głębi.

Lecz jak od gromu stado pierzchliwych gołębi
Ucieka w znanej strzechy otwór niezamknięty,
Tak pierzchli aniołowie przed onem westchnieniem,
Z którem o szczęściu chwilkę pomarzył wyklęty,
I nieba zatrzasnęli za sobą chmur cieniem.
A westchnienie się długo pod chmurami chwiało,
Potem w tę pierś skąd wyszło runęło piorunem...
Potem — coraz posępniej na niebach ciemniało,
I świat się owinięty zdał jednym całunem.

Ocknął się anioł, lecz choć rozpacz w nim zawrzała,
Nie ugiął się od gromu w piersi uderzony.
U stóp mu zapieniona fala dziko grała,
Dzikszą myślą był miotan wonczas duch strącony:
»Ha nieprzebaczający — zawołał na skale,
Znam Cię! ale z miłością nie będę wspominać.
Stokroć spotkam Cię jeszcze w piorunowej chwale,
Dumny, gdy moją dumę ty będziesz przeklinać.
Stokroć piersi mych wolą gniew w Tobie rozpalę,
W drodze stanę, ilekroć zechcesz co poczynać...
Na nieskończoność nasze roztoczą się boje:
Ty będziesz światy tworzyć, ja — truć światy twoje!«

I podniósł się świadomy swej piekielnej mocy,
I leciał przez ciemności — czarniejszy od nocy.

1859.

Gdzie się świat zaczyna.

I pytała raz dziecina:
— Matko! gdzie się świat zaczyna?
— Cyt, uklęknij, dziecię moje,
Złóż pokornie rączek dwoje,
Módl się! Niech ta myśl odleci.
Patrz! nad nami niebo świeci.—
Uwierzyła jej dziecina,
Że się w niebie świat zaczyna.

Przyszły lata, dziecię rośnie:
Już w młodzieńca jarej wiośnie
Wiele waży, myślą mierzy,
Ale jeszcze matce wierzy.
Ach! lecz ktoś mu rzekł niebacznie:
— Świat się w twojem sercu zacznie.

Kto w wstające wczuł się zorze
Ponad łąki, wody, gaje,
Ten zrozumieć tylko może,
Co to za świat w sercu wstaje!

Potem? — inne nieba, słońca —
Wieki zlane w parę lat!
Szczęście — życie — a bez końca...
Czyż się kończy taki świat?!

Ludzkość duchem gdy otoczy,
To jak Znicz mu pierś się pali; —
Gdy w kochane patrzył oczy,
Aniołowie mu śpiewali.
Piersi było coraz szérzej...
A duch rwał się wyżej, wyżej...

Potem nie wiem, co się stało; —

Widział kto lwa, gdy raniony
Kona i w pierś topi szpony?

Raz go serce zabolało...
Raz mu oko łzą nabrzękło...
Potem — w piersiach serce pękło...
A gdy w grobie łono spocznie,
Jakiż tam się świat rozpocznie?

23 czerwca 1859.

Ból życia.

Smutek w mej piersi: duch poza omrokiem
Daremnie szuka gwiazdy, przewodnika,
Daremnie w przyszłość leci myśli wzrokiem,
Przebiega życie i przeszłość odmyka:
Wszędzie sen! życia — światła — w żadnej stronie,
A wiem, że jest gdzieś, bo serce doń płonie.

Kędyż go szukać! czy tu wszystko złuda?
W każdym-że blasku próchno świeci na dnie?
Ucisz się, serce, znikły twoje cuda,
Twój świat, twe róże woniejące zdradnie;
Z marzeń, z uniesień twoich, z przemian doli,
Jedno dziś tylko czuj: że życie boli!

Ach! i ta droga, ta zapowiadana
Wieszczemi snami, jakaż ona głucha!
Dnie mi jak fale płyną, których piana
Chłodem mi bryzga na serce i ducha,
I niknąc oczom, zostawia w pospiechu
Drobną perełkę, a ustom garść śmiechu.

Boże, pokornem kłonię ci się czołem,
Ty wiesz, czy takiem życiem ja żyć mogę?
Wbij mi cierń w serce, gromów otocz kołem,
Przez żar do słońca twego wskaż mi drogę...
Pójdę, lecz zdejmij to przekleństwo doli,
Zagłusz ten w piersi jęk: że życie boli!

1861.

III.

Posyłka.

Mam gołąbka w domu
Z białemi skrzydłami;
Nie powiem nikomu,
Poślę go z wieściami.

Jego lot nie strudzi,
Nie będzie spoczywać;
Dałbym wieść przez ludzi —
Będą rozgadywać.

On rychło uleci
I wróci wesoły...
Cyt, — jak słońce świeci,
Lecą trzy sokoły.

Kogoż poślę, kogo?
Gołąbka się boję,
Sokoły go mogą
Rozszarpać na troje.

Ale wiem, co zrobię:
Piosnka wieść zaniesie;
Zanucę o tobie,
Kochaneczko, w lesie

Rzewnemi tonami —
Lecz zamilczę miana;
Pieśń wielu ustami
Będzie powtarzana.

O kim ta piosenka?
Nie pomyślą sobie —
I w niej do okienka
Wieść zaniosą tobie.

1855.

Kwiatek.

Ona kwiatek mi dała,
Cichy kwiatek pamięci,
I serdecznie żegnała:
— Niech prowadzą cię Święci!

— Ale powróć! — Powrócę!
Jak niewrócić do ciebie?!
Wrócę! piosnkę zanucę
Z ptaszkiem wiosny na niebie.

Mija lato i jesień
Zwiędłym liściem wiatr kręci,
Łza młodzieńczych uniesień
Spadła na kwiat pamięci.

12. października 1855.

Czego chcesz?

Tyś piękna! — lico rumiane
Z krasą dziewiczej czystości, —
Lilje w twe włosy wpinane
Przy bieli twojego czoła,
Wstydząc się swojej śniadości,
Kryją się w puklach warkoczy...
A twoje oczy — te oczy!
Z tym cudem krasy dziewczęcej...
Dziewczę! — o czegoż chcesz więcej? —

O! gdyby myśli anioła,
Te myśli z ziemi — nie ziemi,
Spłynęły do twego łona —
Były myślami twojemi:
Czystem marzeniem olśniona
W całym piękności uroku,
Z twem licem i białem czołem
I z blaskiem natchnienia w oku —
Byłabyś sama — aniołem.

Widziałem ciebie u krzyża:
Klęczałaś w modłach schylona,
Z czoła leciała myśl chyża,
Westchnienie rwało się z łona,
Byłaś w wzruszeniu głębokiem,
Widziałem myśli nad czołem.
Z twem licem, sercem i okiem
Dziewico, jesteś aniołem —
Odtąd cię kocham goręcej —
Powiedz mi, czego chcesz więcej?!

14 października 1855

Żegnaj!

Żegnaj na wieki, różany kwiecie,
Idź cicho marzyć śród róże.
Ja ciebie tęskne, niewinne dziecię,
Nie porwę z sobą na burze.
Ramion się moich strzeż jak gadziny,
A wspomnień o mnie jak czarta,
Zapomnij wszystkie dnie i godziny,
Gdyś stała o mnie oparta.

Patrzaj! tam niebo ciemnieje zdala,
Jakiś szum dziwny zalata;
Słuchaj! tam grom się lasem przewala,
Jakby na koniec już świata. —
Jam przedburzowiec, przeklęte plemię!
A możem z piorunów jeden,
Co własnem sercem uderzy w ziemię,
Choć dziś tak cichy — i bieden.

Uderzy — zagrzmi — na przebudzenie!
Iskier tysiące wkrąg ciśnie.
Lecz jeśli Bóg nim rzuci w kamienie
To głaz i serce wraz pryśnie...
Bądź zdrowa! — Tobie nie patrzeć na to
Twemi oczyma modremi,
Oh! bo by potem, gdy przyjdzie lato,
Róży nie było na ziemi.

Medyka 22. lutego 1857.

Jedna chwilka.

— Co tobie, duszko? patrząc w moje oczy,
Spytało dziewczę siedzące koło mnie;
— Pobladłeś, serce zgryzota ci toczy,
Jakbyś mię nie miał, jakbyś płakał po mnie!
Przecie-śmy razem — a koło nas w bieli
Stoją na straży przeczyści anieli.

— O nie mów, moja! przerwałem zbudzony
Tyle mi jęku w sercu się ozwało,
I takie jakieś pełne bolu tony,
Żebym cię unieść rad jak ptaszkę białą
Tam, gdzie nam marzeń żaden jęk nie zbudzi,
Gdzie aniołowie są — a nie ma ludzi.—

Śmiało się dziewczę i jam śmiał się potem,
Bo szczebiotała do mnie tak wesoła. —
I pożegnałem!... i nigdy z powrotem!
Nigdy blask ócz jej nie olśni mi czoła!
Ludzie mi szczęście i kochankę wzięli.
A aniołowie? Ach!... gdzieś ulecieli!...

Korniów 18. sierpnia 1857.

Gołąbko biała.

Gołąbko biała,
Tyś mi zleciała
    Z nieba.
Czy ci anieli
Tam powiedzieli,
Że ciebie duszy mej trzeba?

Jako jutrzenka,
Moja panienka
    Miła.
Kocham, bo muszę,
Bo całą duszę
Oczyma mi zamówiła.

Życie mi było
Drogą nie miłą,
    Ciemną.
Teraz promienny
Jak dzień wiosenny
Idę, — a ty, ty przedemną.

Nie wiem, co będzie —
Dla mnieś ty wszędzie
    Gwiazdą!
Na mojem niebie
Niech widzę ciebie,
Nie zadrżę przed żadną jazdą.

Sto nieb przelecę,
Sto światów wzniecę
    Lotem,
Znużone czoło
Złożę wesoło,
Dziewico, u stóp twych potem.

22 listopada 1857.

Z nocy.

Spojrzałem w słońce, w niebo, — tam głucho,
Jako w sklepionym grobowca lochu,
Gdzie promyk lampy wystrzela sucho
Nad rozsypaną przygarścią prochu,
I duch ponury powrócił w siebie
Żywota nie było w niebie! —

Więc w świat, w świat czynów rzuciłem ducha,
We stuwiekową pracę człowieka.
O! i tu straszno, — i tu noc głucha!
Zorza poranku — ach! tak daleka.
Z szczytów w przepaście, głębie, bezednie
Duch się zapuszcza, — przechodzi, — blednie,
Bo nim wystrzeli dnia promyk gończy,
Człowiek gdzie zaczął — tam skończy.

I straszną wściekłość poczułem w łonie —
W krainie grobów błędny ptak życia.
Serce w żylaste porwałem dłonie,
To serce, pełne żywego bicia,

To zgliszcze wonią ofiar gorące,
Tę łez tysiącznych krynicę rzewną,
Tę harfę złotą, gromami śpiewną:
Spojrzałem — i było drżące.

A więc i na nie zdjęty pogardą
Duch mój zapragnął, aby raz pękło.
W bryłę niem głazu cisnąłem twardą...
Jękło!...

. . . .
. . . .

A gdym w nie patrzał w prochu leżące,
Toś ty je w białe podniosła dłonie;
Ze krwi otarłaś rany gorące,
Na twem anielskiem cuciłaś łonie,
I źrenicami pełnemi blasku
Lałaś w nie zwolna promienie...
Widziałem, w ręku twojem roztliło —
Ogniem ożyło! —

O! nieś je — nieś je, aniele złoty,
Gdzie cię powiedzie twa myśl natchniona:
Na nowe trudy — pieśni — na loty! —
Tylko je czasem przytul do łona
I z bolu ocuć lica uśmiechem;
Ono tak kocha! — takie spragnione

Za współczucia serdecznem echem.
Skiń! ono pójdzie, w jaką chcesz stronę! —
Ukaż mu, droga, tylko nadzieję,
Ono się w setne dźwięki przeleje,
Zdźbła przyozdobi w brylantów rosę,
Jak ptak do dawnych wróci przymierzy,
Na zbudzenie w pieśń uderzy! —

. . . .

Lecz gdy je trącisz... ja nie podniosę.

24 listopada 1857.

Ty popatrz na mnie.

Ty popatrz na mnie! — a ja ku tobie
Polecę jako dźwięk stróny,
Co bratnie echo wynalazł sobie
Pieśniarza ręką zbudzony.

Pierś ma jak lutnia, ty białą dłonią
Budzisz z niej tony wymowne...
Ach! lecz widziałaś nad morską tonią,
Jak lecą ptaki wędrowne?

Słyszałaś gwar ich wiatrem niesiony,
Gwar pełen strachu — rozpaczy.
Ku wiośnie lecą, — na maj zielony —
Lecz któryż wiosnę obaczy?!

O! ty nie igraj serca tonami!...
I zbolałego wędrowca,
Dziewczę, nie wstrzymuj nad przepaściami;
Lub wywiedź z zwątpień manowca!

I daj mi spocząć, pozwól zamarzyć
O jasnej losu kolei.
Nie będę płakać — nie będę skarżyć
Tylko daj iskrę nadziei!

24. listopada 1857.

Błogosławiona.

Błogosławiona
Chwila mi ona,
Kiedy raz pierwszy ze drżeniem łona
Serce twe imię wyrzekło!
Gwiazda, co marzy o moich losach,
Jaśniej błysnęła tam na niebiosach,
Choć oko łzą się oblekło.

Między gwiazdami
Dzień on nad dniami,
Kiedy raz pierwszy w duszy myślami,
Że ciebie kocham, wyznałem.
Czem ziemia żyje, czem kwiat oddycha,
Czem noc jaśnieje pogodna, cicha,
Ach! wszystko w mem sercu miałem.

O! i ból ony
Błogosławiony,
Kiedym w dalekie uniesion strony,
Ku tobie tęsknił, jedyna!
Ach! tak za sobą tęsknią anioły,
Gdy ich Bóg ześle czuwać na doły,
Nad myślą ziemi tej syna.

Błogosławione
Sny — co w nich tonę,
I wszystko! wszystko tobą natchnione —
Ty duszy mojej promieniu!
Ach! każda chwila z tobą, o tobie —
To głos aniołów, co nucą sobie
Na grobach — o przebudzeniu.

27. listopada 1857.

Znużony ptak.

Ciężką wędrówką znużony ptak
Odpocznę może,
Krwią moich piersi znaczony szlak
Tam — za mną — Boże!
Wichrem i gromem skrzydła podarte,
Kiedy noclężną czyniłem wartę
We spiących duchów taborze.

Im słodki spokój płynie na skroń,
A mnie gra burza,
Ich czoła gładzi kochanki dłoń
Wonna jak róża.
Ach! a ja ledwie ujrzę przelotnie,
Już muszę wracać, czuwać samotnie
Na kopiec nocnego stróża.

Gdybyż choć rychlej z tych ciemnych pól
Tam, w kraj promienia!
Gdybyż na chwilę choć uspić ból
I żar pragnienia.
O, ale z piersią rwaną bolami
Tylko przemieniać noce ze dniami...
Tchnienia dla piersi — o! tchnienia!

Gdybyż choć ona — ten anioł mój,
Popatrzył na mnie!
I gdy mi piersi obleże znój,
Uśmiech miał dla mnie;
Z śmiechem bym leciał — hulaka młody —
Na nudy, trudy, na niepogody,
Choć świat by walił się na mnie.

2. grudnia 1857.

Czy ja cię kocham?

Czy ja cię kocham? — dziewczę! któż na ziemi
Kochać cię może odemnie goręciej?
Czy ja cię kocham — ty patrz oczy twemi —
Kto dla cię więcej poświęci?
Kto silniej sercem twe serce obejmie,
Kto głębiej duchem twego pojmie ducha,
Kto pewniej całą w światło cię podejmie,
W twe myśli kto tak się wsłucha?!

Lecz ja nie kocham cię jak kwiat, — jak różę,
Co od promieni słońca k' niebu wonie,
Co ma oblicze koralowe, duże —
Królowa na całe błonie.
Na różę patrzę, woń uśmiechem płacę,
Ale gdy oczy jej krasą nasycę,
Nim pierś się zajmie — serce zakołace,
Odwracam oczy i lice.

Ani jak gwiazdę kocham cię, jedyna,
Co tam na niebie błyska opalowo,
Ku której sternik swój żagiel rozpina
A nocy zwie się królową.
Czasem ja wzlecę na lazur bez końca;
Przy złotej gwiaździe duch na chwilę zaśnie,
Lecz od promieni wschodzącego słońca
Gwiazda, — widziałaś, jak gaśnie?

Ja ciebie kocham wszystkiem, co jest we mnie,
Duch mój jak anioł otacza cię wszędzie,
Tchnienie me każde — każda myśl co ze mnie —
Dla ciebie była i będzie.
A taka miłość w piersi, w głębi łona
Przez ciebie samą, — i dla samej ciebie: —
Ziemię nią kiedyś jak schwycę w ramiona,
Tam ją zawieszę, — aż w niebie! —

7. grudnia 1857.

Pod urokiem.

Ni co skończyć, ni co począć,
Ani sercu dać wytchnienie,
Ciągły upór... i pragnienie! —
Ptakom — myślom trudno spocząć;
Zadumanem wodzę okiem,
Straszno duszy pod urokiem.

Popatrzyła, — przemówiła —
Głąb się duszy odbił w oczach,
Słodycz w ustach — kwiat w warkoczach...
Boże! Boże, jakaż miła!
Patrzę — ruszyć nie śmiem krokiem,
Choć wre serce pod urokiem.

Pieśń zaczynam; — pieśni tony
Miała niby w białej dłoni,
Zmienia w gromy — stal, na dzwony,
Na niebiosa orłem goni,
Ducha wiesza — pod obłokiem
Ducha — ptaka pod urokiem.

Gdybyż w niebo choć puściła,
Gdyby w piekło zlecieć można!
Ach! zabawka nieostrożna!
Szalonego w błękit wbiła,
Zkąd przepaście mierzę okiem
Pod promiennych ócz urokiem.

Kocham! — onaż zna to tchnienie,
Na pół z piekła — na pół z raju?!
Darmom wrócił, ptak z wyraju,
Na słonecznych pól promienie, —
Przyjdę — zimnem wita okiem,
A pierś pęka pod urokiem.

9. grudnia 1857.

Jutro.

Jutro mam cię widzieć — witać,
Drogie dziewczę moje!
Miałbym tyle mówić, pytać...
Ach! i wspomnieć boję!...

W mojem sercu tyle — tyle
Cierni, róż i woni!
Takiem straszne przeszedł chwile...
Niech je czas zasłoni!...

Niech je anioł mój odniesie
Daleko odemnie...
Jak zdrój z skały niechaj rwie się
Sama radość ze mnie!

Tyleż jeszcze cierni czeka
Na mą biedną głowę,
Bóg wie, jakie czas odwleka
Sercu bole nowe.

Jutro, luba, niech wesele
Skronie mi otoczy,
A ja z tobą się podzielę
Tym gościem z przezroczy.

Nie! ja s z c z ę ś c i e oddam tobie...
Mnie s e r c e zostanie
Na promienne życie — w sobie,
Na łzy, — na kochanie! —

31. grudnia 1857.

Daremnie.

Pójdę ja brzegiem majowym zdroju —
Pójdę dla serca szukać spokoju.
— Niezapominka u brzegu rośnie...
O! nigdy — nigdy pokąd tych wód —
Pierś nie przestanie goreć miłośnie...
O! wróć się, chłopcze — daremny trud!

Pójdę ja w górę na głuche tonie,
Może tam serce w ciszę zatonie?
— O wróć się, chłopcze! tam świat bez granic,
Nie przemierzona oczyma dal, —
Ach! tam tęsknoty nie oprzesz na nic —
Uschną ci piersi — spali cię żal.

Toż pójdę w pola; — gdzie łąka, zboże —
Tam smutne serce przeboli może.
— Blady tam błękit — słońce przygrzewa.
Pusty wiatr ciągnie obszarem pól! —
I więdną kwiaty, usycha niwa; —
O wróć się, chłopcze! nie zgaśnie ból.

Pójdęż ja w lasy ciemne i chłodne
Może tam znajdę chwile swobodne.
— Choć ciemne lasy, choć puszcza dzika,
Lecz tam się błąka lasowy czar,
I szmerem liści, pieśnią słowika
Powie ci o niej — i wskrzesi żar.

Toż ja powrócę pod moją strzechę,
Tam może sercu znajdę pociechę?
— Ściany twej chaty bielone pięknie,
Lecz tam się znajdziesz — ach! taki sam,
Że ci się z bolu serce rozpęknie;
Oj! biedny chłopcze, nie wracaj tam.

Gdzie ja się z tęsknem sercem obrócę?
Pójdę — na morze — w łodzie się rzucę...
— Obejdź ty, — opłyń ziemię dokoła,
Płyń ciszą — obleć na skrzydłach burz.
Ni żalu z serca, ni dumki z czoła,
Ni jej z pamięci nie zbędziesz już.

22. czerwca 1858

---

*　　*
*

Zmierzyłem przepaść — straszna głąb przedemną! —
Schodzę, — dokoła ponuro i ciemno.
Oczom ni jeden kwiat się nie uśmiecha,
Słuch mój daremnie śledzi w dali echa...
Wszystko to we mnie!... a choć droga śliska
I choć daleko jeszcze do łożyska,
Krok się mój pewnie w drodze nie zachwieje...
Wróciłbym może — gdybym miał nadzieję! —

Ale nie! — darmo! — chód mój bez powrotu!
A jednak jeszcze ten dawny świat nęci —
Ten świat uroczy gołębiego lotu —
Zachwyceń serca, — a dziś świat pamięci...
Skonał! —
　　　　Lecz pocóż w mej piersi się budzi
Ten trup, i pocóż mami blaskiem życia?
O! dziwne serce — nawet ból je łudzi
Jeszcze — i zmusza do żywszego bicia.

Spojrzenia twego!... nieba chcą raz jeszcze!
Dłoń podaj! — szczęście moje miałaś w ręku.
A teraz żegnaj! żegnaj! — ja ból zmieszczę
W sercu jak miłość; — patrz! idę bez lęku, —
Idę i serce już się nie pokusi
O nic... i wiem to, że drogi dokonam...
Co mi nie dało szczęście — ból dać musi! —
Potem zdobędę spokój — potem skonam. —

1. lipca 1858.

Sen.

Sonet.

Śniło mi się, żem zasiadł jakby król w koronie,
A straszny gniew się w mojem zapłomienił oku,
Troski me, jak poddani', nie śmiąc zbliżyć kroku —
Z dala patrzyły z trwogą na piorun przy tronie.

Nagle zbladły mi lica jak krasa w obłoku,
Kiedy się ranne słońce wzbije po nad tonie,
Bo po pioruny obie pochyliłem dłonie,
A śmierć! — śmierć wszystkim troskom! groziła w mem
[oku.

Gdym gromów pełne garście miał i ramię wznosił,
Przybliżyła się ona — najbledszego czoła,
I wpatrzyła się we mnie... Jam oczy łzą zrosił,

I me łzy się zmięszały, moje i anioła;
A potem jęk błagalny rozległ się dokoła, —
Ocknąłem się i wszystkiem do serca zaprosił.

24. listopada 1858.

Spodziewanej.

Co myślisz? rzeknę, gdy zejdziem się znowu,
Po dniach tak wielu i różnej kolei...
Skargi nieść memu nie rozkażę słowu,
Ni się odemnie dowiesz o nadziei;
Jedna i druga trwoży Cię daremnie...
Toż się nie lękaj! tych mar nie ma we mnie.

A jednak serce tak samo mi płonie,
Tym samym czarem dusza ma objęta!
Tylko że całą głębię w mojem łonie
Jakaś mi cisza wypełniła święta,
Jakieś uczucie kojące i błogie,
Że i w tęsknocie uśmiechać się mogę.

I z moich wspomnień żadne mię nie boli,
Ni się o przyszłość mój duch kiedy lęka:
Nie wiem, czym przywykł tak do mojej doli,
Czy pierś — anielska dotknęła mi ręka,
Ale się czuję w takiej silnej zbroi,
Że nie ja, jeno mnie rozpacz się boi.

Wiem, że nie dla mnie szczęścia blaski świetne,
O szał miniony już się nie pokuszę,
Kocham, co wielkie, czyste i szlachetne, —
Ciebie, bo bielszą masz od lilji duszę:
Boś i ty sercem przeniosła szlachetność
Nad blaski świata i nad doli świetność.

I teraz, siostro, czekam cię jak wiosny,
Której niedługo płaszcz się rozzieleni;
Ostatni może to mój dzień radosny
Przed pracą lata i głuszą jesieni,
Ostatnia może to już chwila z owych,
Pamięci jasnych, sercu wiecznie nowych.

Powitam ciebie, jak witam natchnienie,
Po którem w piersi złota pieśń zostaje,
Jak witam ducha mego uniesienie
W sfery słoneczne i aniołów kraje!...
Spokojny jednak czekam onej chwili,
Co z takiem szczęściem ku mnie się nachyli.

7 lutego 1859.

Przy blizkiej wiośnie.

Sonet.

Pytała wiosna, siostro, o twoje ustronie,
Gaj znajomy — czy przyjdziesz ze mną go odwiedzić?
I te brzozy, gdzie razem lubiliśmy siedzieć,
I róża, kiedy przyjdziesz włożyć ją na skronie?

Ja milczałem, bo i cóż miałem im powiedzieć?
Że ciągle w dal posępną wzrok za tobą tonie,
Że ogień niewygasły dotąd noszę w łonie:
Patrząc na mnie, bez słów mych muszą o tem wiedzieć.

Twoja ustroń, czy jeszcze śniegami pokryta?
Zielenieją się pola? lód czy poszedł z rzeką?
Ogródek twój, czy pięknie kwiatami rozkwita?
Ty wyjdziesz i usiądziesz marzyć pod smereką —
Ale o mnie cię żadna trawka nie zapyta,
Żaden kwiatek nie powie: — Ach! on tak daleko!

17. marca 1859.

---

*   *
*

Cisza!... Czy niebo myśli moje czyta,
Myśli w twe serce patrzące?
Strop jak opona nademną rozbita
Śle mi promienie z gwiazd lśniące.

Ziemia wieczornym otulona cieniem
Ucichła jak w śnie dziecina,
Czy wie i ziemia? Czy mojem marzeniem
I ona marzyć zaczyna?

Patrzę w twe serce, dziewczę!... ono ciche;
Czyste jak lilja, pokorne,
W proch przed niem zginam ducha mego pychę,
W proch ciskam myśli niesforne.

I tak bez myśli rwących, promienistych,
Z skrzydłem zwieszonem z ramienia,
Do twoich oczu, do gwiazdek przeczystych,
Tęsknię do twego spojrzenia.

Gdy spojrzysz, szczęście piersi me otacza,
Jakby mi anioł niósł wieści,
Że Bóg duchowi mojemu wybacza
I pychę i jej boleści.

Cicho!... Pieśń moja w modlitwę się łamie,
Serca podwaja się bicie...
Czemuż tak cicho z tobą ramię w ramię
Nie wolno przejść mi przez życie?!...

1862.

Każdą myślą.

Każdą myślą, każdem tchnieniem,
Każdą łzą i uniesieniem,
Dziewczę! każdem serca drżeniem
Wołam: kocham ciebie!

W mej modlitwie imię twoje,
Życie moje, pieśni moje,
Serca ból i niepokoje
Mówią: kocham ciebie!

Tylko gdy przed tobą stanę,
Usta kryją serca ranę;
Nie śmią jak zaczarowane
Wyrzec: kocham ciebie!

Nim cię drugi raz obaczę,
Znowu modlę się i płaczę
I zaklinam w pieśń rozpacze, —
Wołam: kocham ciebie!

1863.

Rozkochany.

Ten bronuje, ten obsiewa,
A ów orze,
Na mem polu wicher spiewa...
Boże! Boże!

Ani mi się wziąć do pracy,
Z rąk mi rwie się,
Błąkałbym się jak ci ptacy
W polach -- lesie.

Odkąd znam cię, dziewczę moje,
Wszystko marne,
Och! te czarne oczy twoje —
Takie czarne!...

1863.

On i Ona.

Szedł On, szła Ona, szli laskiem we dwoje,
W jej oku uśmiech, w jego ńiepokoje.

Ni ztąd ni z owąd, jak zwykle w gadaniu,
Wszczęli rozmowę o swojem kochaniu.

W tem ich rozmowa taki obrót bierze:
»Wiesz co, mój luby, ja w miłość nie wierzę.«

— Ja także luba. —
»To cacko dla dzieci.«

— Wyskok młodości! —
»A na starych sieci.«

I znów szli dalej, szli laskiem oboje,
W jej oczku uśmiech, a w jego... łez dwoje.

---

*

* * *

Odetchnąłem,
Żyć zacząłem
Powiewami kwiecia — róż!
Bywaj zdrowa!
Smutne słowa,
Ledwiem ujrzał, — żegnam już.

Com tu przeżył,
W com tu wierzył,
Nieskalane niosę w świat.
Marzeń sploty,
Łzy tęsknoty
I nadziei blady kwiat.

I twe lico,
Krasawico,
Promień oczu, uśmiech twój,
Z twego czoła
Blask anioła
Dla mych piersi nowy strój.

Bywaj zdrowa!
Smutne słowa,
Ledwiem ujrzał, — żegnam już!
Żyj szczęśliwa,
Urodziwa,
Pośród woni — kwiecia — róż.

---

*   *
*

Rozkaż ty, dziewczę, niech nie kwitną róże,
Nad ziemią słońce niech nie wstaje z rana; —
Rozkaż, niech stanie fala rozhukana,
Potem każ zdrojom wrócić wstecz ku górze:
Gdy się to wszystko za twem słowem stanie,
Każ, niech me serce kochać cię przestanie.

Napróżno! — zdrój już nie wróci ku górze,
Fala nie stanie i zakwitną róże;
I tarczy słońca rankiem nikt nie wstrzyma —
I ty mi ciągle świecisz przed oczyma,
Świecisz tak miła, że cię kochać muszę,
Choćby w tym ogniu przyszło stracić duszę.

Stokroć urażon i gniewny na ciebie,
Ja sam tę miłość chciałem wydrzeć z siebie —
Lecz zawsze serce tak jękło żałośnie
I gniew odtajał jako lód o wiośnie —
I serce ledwo bolom się wykradło,
Biegło do ciebie i u stóp się kładło.

Z tajemnicą.

Widzieć cię! mieniać z tobą zimne słowo,
Kiedy wezbrana pierś uczuciem pęka,
Straszna to męka!
Jak chmura słońce — żar osłaniam mową,
Cały raj serca kryć przed tobą muszę,
Ja — co mam duszę.

Ja, co mam duszę czułą, bolejącą,
Co sercem światko boże
Zmieniłem w płomieni morze —
Kocham cię! — milczę, łzę kryję gorącą...
Jedyna moja! tak srogo
I w piekle cierpieć nie mogą.

A cóż? gdy kiedyś serce ci odsłonię,
Kiedy w mem łonie
Wyczytasz imię krwią pisane moją,
Wyczytasz miłość, co dla ciebie zbroją, —
Podasz mi, dziewczę, dłoń twoją?!

Tchnieniem nadziei karmię pierś spragnioną,
Patrzę w twe oczy, w duszę, — o! jedyna,
Gubię się, — serce boleć zapomina,
Oczy me w promieniach toną.

Wspomnienie.

Urywek.

Odetchnąć pragnę! niechajże mi głowę
Otoczą cichy sen i zapomnienie.
Noc rzuca kiry na drogi krzyżowe,
Na których życia nagrodą: — znużenie...
Młodości! twoje tęcze koralowe,
Twój płomień daj mi na chwilę i śnienie,
Błyśnij nademną twemi błękitami!
O! gwiazdy moich marzeń, jestem z wami!

Czuję was! Serce pełne twórczej siły
U stóp anioła ciche się położy...
Bliski dlań gromów dzień — i z nad mogiły
Rychło nań zstąpią blaski rannej zorzy.
Lecz teraz zbudzi obraz senny, miły,
Przed białą różą szczęścia się ukorzy;
Dwoje niem oczu anielskich zawłada.
Rzucajcie, duchy, zasłonę — niech spada!...

Tam biały dworzec w wieńcach winogradu;
Woń drzew wiosenna rozlewa się w koło,
Roje pszczół lecą na jabłonie sadu,
Kwiat otrzepują z brzękiem; niżej sioło
Podobne z dala gołębiemu stadu
Białością swoich chat; świecące czoło
Podnosi cerkwi wieżyca złocona...
Błogosławiony świat ciszy!... Gdzież Ona?

Czeka ją słowik, ogrodowe grządki
Czekają na nią i lilje i róże;
Zielone malwy jak zaklęte prządki
Wiją powojów nić w liście papuże...
O swięte serca mojego pamiątki!
Jakież was gromy biły, jakie burze!
Jednak nic z waszej nie ubyło woni!...
Anioł was chował w sercu!... Lecę do niej!

Jakże ją znają kwiaty i ptaszęta!
Jakże się chórem dobijają o nią!
Róża, przed chwilą na pół rozkwitnięta,
Ku niej się z krasą wychyla i wonią;
Bławaty patrzą w jej ciche oczęta,
Lilja ją wita i jaskółki gonią.
Lecz ona, ptasząt tych i kwiatów pani,
W skromności nie wie, że to wszystko dla niej.

I lilję białą skłonioną ku ziemi
Podniosła, ciesząc się ptaszemi głosy.
Róży oddała usty różanemi
Uśmiech; powojów rozplecione kosy
Rzuciła na malw kolumny, szklistemi
Ubrylancone kropelkami rosy.
I tą drużyną kwiatów tak zajęta
Szła jak aniołek kwiatów, albo święta.

. . . .

Wieczna wiosna.

Sonet.

Kiedy się w liść zielony knieja przyodziewa,
Kiedy rozkwita róża i łąka rozwonie,
Wiosna! wołają ludzie i z radością w łonie
Ścigają wzrokiem krasę i ptaka, co śpiewa.

Ach! ja jedno mam tylko wiosenne ustronie,
Wiecznie ztamtąd zaklęty na mnie czar powiewa,
Wiecznie tam kwitną łąki, — zielenieją drzewa,
I wiecznie błękit jasny odbijają tonie.

Pragniesz, bym ci rozwiązał zagadki tej słowa?
Dziw! że dotąd jej serce nie odgadło twoje!
— Gdzie ty, tam wiosna, świeżość, — wiecznie woń
[majowa;

Toń, co błękit odstrzela, to twych oczu dwoje,
A ustroń, co tę krasą jakby świętość chowa,
To, dziewczę, wierna przyjaźń, szczere serce moje.

Raj utracony.

Nieraz, gdyś miała uśmiech na twarzy,
Myślałem sobie, żem ja na straży
Aniołem twojego wdzięku —
Nieraz — tyś ani wiedziała o tem —
Duch cię mój skrzydłem osłaniał złotem
Od bolu — od łez i lęku.

Twój świat był moim — za twem marzeniem
Umiałem cichym sunąć się cieniem,
Twe życie przeczuć — zgadywać...
A kiedym nie miał twego widoku,
Senny — lecz z blaskiem natchnienia w oku
Siadałem — jak ptak — by śpiewać.

I zdało mi się, że całe życie
Będzie uśmiechem ducha w błękicie
I serca drżeniem w promieniach —
I tylkoś jedno: »zapomnij« rzekła,
I duch się na dnie obaczył piekła,
A serce w mroku — i cieniach.

I stało im się pusto, — grobowo,
Z trudem pielgrzymkę podjęli nową...
A rwą się jak bezprzytomni...
Ciągle ku tobie — wiecznie do ciebie,
I śnią i — tęsknią po swojem niebie —
Nad niemi twoje »zapomnij!«

IV.

Do mojej lutni.

O lutni moja, jak smutno mi!
Co sięgnę ręką do twoich strón —
One się zleją w grobowy ton,
Pieśń smutno brzmi!

O lutni moja! ręka ma młoda
Chce strón wesela; chwil mi tych szkoda!
Onaby chciała w twą złotą nić
Kwiat myśli wić.

Pierś moja młoda za szczęściem drży,
Z mojej źrenicy wystrzela żar:
Szukając w koło ułudy mar —
Znachodzi łzy.

I czegoż szukam, ja pieśniarz młody?!
Śród cierni ziemskich kwiatu swobody? —
Szukam wysłanych różami dróg?
Szukam — gdzie Bóg?

Gdy niebo wieczór gwiazdami tli,
I księżyc srebrny rozsyła blask,
W wieczornym świcie mych myśli brzask
Niepewność ćmi.

Gdy w perłach rosy wiosny poranek
Na wrzącą duszę wkładał mi wianek,
Że to z róż samych — jam w błędzie żył:
Tam i cierń był!

Ciebiem pochwycił, o lutni ma,
By w twoje dźwięki przelać ten szał,
Co w moją duszę natchnieniem wiał
I w sercu drga!

Ha! pieśniarz młody z całym zapałem
Dźwiękami serca ziemię witałem!
I co'm powitał w zaranku lat?...
W szkielecie świat!

A on mi kazał bez życia żyć!
I gdy duch młody do życia drżał,
On w moje serce truciznę lał...
Musiałem pić!

A jednak, lutni! jam marzył jeszcze,
Gdym w strony twoje lał dźwięki wieszcze,

Oh! bom przy tobie ułudą żył,
O piosnce śnił!

Przy tobie jeszcze'm z świata się śmiał; —
Gdy mnie dusiła tej ziemi pleśń,
To śmiało moja leciała pieśń,
Gdzie piorun grzmiał!...

Ha! puhar cierpień piję z uśmiechem!
Życie mi dzisiaj już tylko echem
Odbitem głucho o marzeń szczyt...
Cyt, serce — cyt!

31. grudnia 1853.

Z „Wschodnich róż“

Rückerta.

Gdy mi się słodka śmieje dziewica,
Wtedy świat cały rozśmiesza lica
    I mego życia weselszy stok.
Moje szczęście i boleści,
Te nie moje serce mieści
    Lecz kochanki czuły wzrok.

Kiedy wybiegniesz w pole radosna
I śród zieleni staniesz jak wiosna,
Zdaje się jesień przez miasto iść.
A moje lico jak błoń wśród mgły,
Bo po niem płyną stężałe łzy,
A serce moje zeschnięty liść.

Młodość, miłość, lekki szał
Są trzy piękne dni wiosenne:

Zamiast skarżyć, że są zmienne,
Użyj, serce, piękny dział!
    Użyj, serce, piękny dział,
    Zamiast skarżyć, że są zmienne
    Ni trzy piękne dni wiosenne,
    Młodość, miłość, lekki szał!

1854.

Na odjezdnem.

(do przyjaciół L. W. i M. P.)

Bracia moi — chwil niewiele pozostaje nam:
Słówek parę — uściśnienie!... Długa droga tam —
Oh ciernista i kamienna, — bo droga żywota,
A powiedzie mnie daleko — nie wiem, w jakie wrota!

Mniejsza o to! gdzie powiedzie? niech się pyta ten,
Komu życie ulatuje niby rajski sen.
Lecz kto nieraz wśród wędrówki na cierń trafił nogą,
Tego walki i cierpienia odstraszyć nie mogą.

I stanęliśmy przy drodze; — ja nie idę sam:
Towarzyszów nieodstępnych — wasze serca — mam!
Tak wy ze mną wędrujecie, — i ja sercem z wami.
I choć nibyśmy samotni — a jednak nie sami!

Bo czy wieczór, czy poranek — to pamięci zwój
Poroztaczam, spojrzę — powiem: — »to mój i to mój!«

I dłoń moją czule ścisną wierni przyjaciele,
I tak myślą pogadamy — wiele... oh! tak wiele!...

Hej, woźnica klasnął z bata! — śmiało! »w dobry czas!«.
Oh! do serca, do tej piersi niech przycisnę was...
Dłoń do dłoni! oko w oko! — ha... bywajcie zdrowi! —
Myśli naprzód! — dalej... dalej... aż tam!... ku celowi!

23. lipca 1854.

Do braci — trzy stróny.

Chcecie piosenki, o bracia moi!
Jakąż szalony piosnkę wam da?
Rozpacz mi stróny na lutni stroi!
Zanócić trudno, o bracia moi,
A pieśń rozpaczy na cóż się zda?

Słuchajcie... kiedy dziko, olbrzymio
Skały odrzucą piorunom wtór,
I wiatr obudzi głosy, co drzymią
W grobach, zwaliskach, i z pól, co dymią
Krwią, w jeden straszny przeszłości chór;

Tem chciałbym jedną zczarować strónę.
Drugą bym owił pączkami róż:
I wszystkie żary, któremi płonę,
Miłość, tęsknota, bole zniesione —
To druga stróna przy strónie burz.

Trzecia... myśl rwie się, o wyrzec trudno!
Jabym chciał całą harmonję sfer
Schwycić na strónę! tonami ludno
Tak płynąć w nocy krainą cudną —
Myślom i gwiazdom nadając ster.

A z tych strón jeden, jak jedno życie,
Spłynąłby do was serdeczny spiew:
Zbudzoną przeszłość i gromów bicie,
Miłość, tęsknotę i wianków wicie,
Owiałby pokój odwiecznych stref.

1855.

Dzikie sny.

Nie drżyj, serce, tak ku burzy!...
Jak spokojnie tu!
Szemrzą drzewa, fala wtórzy
Tej piosence snu.

Dziwno! dawniej śniłem tyle,
Snułem marzeń nić:
Dzisiaj chciałbym choć na chwilę
Tak jak dawniej śnić.

Nieraz pośród burzy wycia
Jam o gwiazdce śnił:
Dzisiaj wianek myśli życia
Z gromów mi się zwił.

O! przycisnę do tej ziemi
Rozpaloną skroń,
Może, może chłody swemi
Wleje pokój doń.

Przeszłość — przyszłość piorunami
Jak piekielne sny
Grają w duszy; — nad falami
Gaik liściem drży.

1855.

Umilknij, serce...

Improwizacja.

Umilknij, serce, ty gadzie przeklęty,
Co mi wciąż łono poisz trucizn jadem!
Milcz! bo twój odgłos światu nie pojęty,
Bo dziś szaleństwem iść za twoim śladem —
A czuć olbrzymio, to dziś pusta mrzonka,
Co jako świetlik po grobach się błąka.

Gadzino wściekła! czemuż żar ten krwawy
Nie mogę w słowa rozpalone przelać?
I niemi cisnąć jakby grom jaskrawy,
By je świat pojął i zechciał podzielać?
Nie! milcząc karmię jadowitą żmiję —
I słuchać muszę — że o piersi bije.

O! gdybym mógł cię tygrysa szponami
Wyrwać z tej piersi i pokazać światu,

Jakiemiś ty mnie poiło jadami...
...A jednak!... ileż w tobie było kwiatu!
Ile uniesień! miłości!...
Dość na tem! —
Serce! tyś moim i niebem i katem.

1855.

Do M. P.

Dziwnie się życie toczy falą świata...
Po latach wielu — może z obcej strony
Kiedyś cię tutaj znajdzie wieść skrzydlata,
Że w dzikiej walce... zaginął... szalony...

Może twem czołem o dłonie oparty
Przeglądać będziesz księgi białe karty
I na tej oko twoje się zatrzyma:
Myśl twoja nagle w przeszłość się oddali —
Powiesz: »Są wszyscy, którzy mię kochali —
Wszyscy tu żyją, a jednego nie ma!«

W dalekiej stronie złamany i blady
Gryzie wspomnienia, jak szczątki biesiady.

(Wpisano w księdze pamiątkowej medyckiego ogrodu
dnia 9. lipca 1855.

Zła stróna.

Łza w mojem oku?... Jam jeszcze młody,
Zkądże ta łza?
Przedemną światy, burze, przygody
Jak przed zdobywcą warowne grody...
Cyt, lutni ma! —

Jam jako ptaszę swobodnie nucił;
I tam i tu
Kwitła mi radość — gdziem okiem rzucił;
Sen to był złoty! — zniknął — nie wrócił...
Oj szkoda snu!...

Ani mi złotej wspomnienia chwili! —
Gdym ujrzał Ją,
Świeciło słońce śród tęcz motyli...
Precz! — zrywam strónę, co mi tak kwili,
Precz mi z tą łzą...

Ty budzicielko łez w mojem oku,
Umilknij raz! —
Niech wydrę duszę z żalów pomroku,
Niech inne słońce zabłyśnie oku
Z nadzieją wraz!...

Milcz! lub cię strzaskam o brzeżne skały —
Sam pójdę w świat.
Ludzie powiedzą: grajek zuchwały
Roztrzaskał lutnię o brzeżne skały: —
Oj — szkoda lat!

1856.

Co po wiośnie?

Wraca wiosna — słowik nuci;
Z wiosny, z ptasząt — cóż mi, cóż?!
Wiatr w dąbrowy liście rzuci,
Zbudzi krasę dzikich róż.

Tam na polach zejdzie kwiecie
I zaszumi zbożem łan;
Mnie nikt wianka nie uplecie,
Nikt nie poda rączki w tan!

Bracia moi, szczęść wam Boże!
Wiosny waszej, waszych snów!
Mnie północne świecą zorze,
Dzwoni dumka tęsknych słów...

Gdybyż można szaleć — marzyć!
Gdyby jedna czysta łza!...
Nie wiem, przed kim wiosnę skarżyć,
Ale straszna wiosna ma.

28. marca 1856.

Orły, sokoły!

Orły, sokoły!
Dajcie mi skrzydła!
Gruz i popioły —
Ziemia mi zbrzydła.

Jabym chciał w górze
Pohulać z wami —
I tam na chmurze
Żyć piorunami.

Tu mi jak w trumnie
Świat nie wesoły,
Spuśćcie się ku mnie,
Orły, sokoły.

Choć duszę weźcie
Na wasze loty
I ją zanieście
W marzeń kraj złoty.

Na niebios progu
Między gwiazdami
Jabym tam Bogu
Modlił się z wami.

A tu żałobą
Pokryte doły:
Weźcie mnie z sobą,
Orły! sokoły!

1856.

Pannie Melanji R.

(do imionnika).

W twoim ogródku skrapia ci róże
Strumyczek mały,
I ptak ukryty w liście papuże
Nóci dzień cały.

Kto wie, gdzie drobny strumyczek płynie?
Jak się rozlewa?
A kto pamięta o tej ptaszynie,
Co piosnki spiewa? —

16. lutego 1857.

Do mej młodości.

Czemuś tak smutna, ty, młodości moja?
Czemu wesoły dzień od ciebie stroni?
Zda się, że z cierni tkana dola twoja
Radosnej chwili wtóra nie dogoni.
Nim jeden kwiatek uszczknie się po drodze,
Ileż to kolców skrytych utkwi w nodze.

Całą jam piersią wciągał świata tchnienie,
Wszystko dziecinna oplatała wiara;
Wznosiłem serce, wzniecałem płomienie
I cudnie wonna płonęła ofiara.
Lecz szybko czas ten zleciał na zegarze,
W piersi ból został — a trucizna w czarze.

Młodości moja! wyrwij ty się ptakiem
Z tych krain bolu, nim wiosna przeminie!
O! serce, tobie życiem nie żyć takiem,
Ni z myślą płakać, że róż kilka ginie:
Tędy — z żelaza kuta droga twoja. —
Idź! bo cię przeklnę, ty, młodości moja!

Leć, gdzie płomienie palą się wieczyste,
Gdzie jedna chwila cudowna natchnienia
Rozwidnia wieków oceany mgliste —
Tam niech się dusza wznosi, rozpromienia;
Tam ty gorącem steruj serca biciem,
Albo się przepal — i skonaj wraz z życiem!

20. marca 1857.

Złoty szlak.

Nam pęka serce, nam się krwawi łono,
Gdy otoczeni tą rzeszą spodloną
Głos czysty mamy podnosić:
Już z nas nie jeden zrażon podłym wrzaskiem
Szedł, pogardzając złością i oklaskiem,
O rychłą śmierć Boga prosić.

Kto dzisiaj plonu spodziewa się z roli,
Nieraz go jeszcze serce tak zaboli,
Zwątpienie zaćmi powieki.
Od Nazaretu po świata przestworze
W bolach i mękach nieśli słowo boże
Wysłańcy Pana — trzy wieki!

Do lotu ptaków wybrana drużyno!
Lata przeminą — głosy nie przeminą,
Ni szlak nasz złoty do słońca!
Szkielety nasze niby drogoskazy
Ślad im oznaczą do cudnej oazy,
Gdzie panią — Miłość bez końca.

22. marca 1857.

* *
*

Iskro nadziei! jeżeliś snem tylko,
Pocóż tak jasną czarujesz mię chwilką?
Poco? — ach! cierpień dawnych czyż zamało?!
Wiele, ach wiele serce przebolało!
Zgaśnij, mych uczuć nie kołysz goręcej,
Bo cierpię więcej.

Piękaś! jak zorza wstająca z pomroku,
Różowem światłem tlisz łzawemu oku!
Za wielkie szczęście! — uchodź, zalotnico,
Zanadto nęcisz — ah! za piękne lico,
Abym twej krasie — twym słowom uwierzył,
Ja, com ból zmierzył.

Bez wzajemności iść mi w świat daleko,
Jako bez echa głosy z lutni cieką,
Śnić na przepadłe, kochać na przepadłe,
Śmiechem dla świata krasić lico zbladłe!
Aż się nademną spełnią sądy boże; —
Kochać? a może . . . . . . ?!

28. października 1857.

Przy smutnej wieści.

Podajcie czarę! — Cóż to? wy myślicie,
Że się tak łatwo od trucizny kona?
O! kto z mogiły czerpnął krew i życie,
Do pogrzebnego kto nawyknął dzwona,
Kto ducha wprawił do ludzkiego jęku,
I oręż nagi lub piorun ma w ręku,
Nie kona!

Cóż? — a jeżeli ta pierś jako lutnia,
Gromową dłonią nieszczęścia dotknięta,
Jękiem słuchaczy swoich nie osmutnia,
Jeno wydaje głos, co targa pęta,
I tych, co marzą, — co spią, ze snu budzi
I jeszcze kocha ludzi, jak nie ludzi.

Cóż? — a jeżeli ta pierś odtrącona
Od tej, co niebo tchnęła w nią oczyma,
I ten śmiertelny cios stale wytrzyma
I ni się skruszy, ni rozpłynie w jęku,
A miecz i piorun pozostaną w ręku...
Cóż? czy się łatwo od trucizny kona?

Marzyłem — cierpię — kocham — ach! szaleję —
Lecz myśli moje wiedzie szlak słoneczny —
Tam, gdzie harmonji duch przebywa wieczny
I przyszłe ludom tka z promieni dzieje!
 Ja wiem, pod jakim ja zrodzony znakiem:
Duch mój nie kwiatem wonnym, ale — ptakiem!

Dwa są nieszczęścia: w jednem serce pęka;
Drugiem rażony duch na chwilę klęka,
Pochyla czoło i patrzy ponuro,
Że mu się słońce zasłoniło chmurą.
O! ale potem, choć w pół jeszcze marzy,
O swej anielskiej wspomni sobie straży,
Blask własny w serce przeleje rozdarte
I znów skrzydlaty powróci na wartę; —
Potem jak piorun ku niebu się rzuci,
Rozetnie chmurę w pół... i z słońcem wróci.

Podajcie czarę! — co tam w niej na spodzie,
Wie mój Stróż Anioł. Mnie łza ścmiła oko;
Czuję, że pierś mi krwawy cierń przebodzie,...
Czuję, że w duszy ból utkwi głęboko...
Podajcie czarę... Pełna! jeśli zbladnę,
Ocuccie! — Gromem zbudźcie — gdy upadnę!

6 grudnia 1857.

Z powrotem.

Jak pielgrzym z dalekich powracam manowców,
Gdzie drogi się śmielszych krzyżują wędrowców:
W pustynie — to w niebo — to w piekło.
I dziwów nie mało widziałem w podróży: —
To błękit pogodny, to straszny ryk burzy,
I nieraz mi czoło krwią ciekło.

Ach! czasem tak w górę wyniosła mię droga,
Żem nie miał nad sobą już nic oprócz Boga;
A chóry aniołów gdzieś z dali
Ze światów na światy, przy drżeniu harf złotem,
Przemknęły, to na dół spuściły się lotem
Jak stada łabędzi ku fali.

Przeróżne się tony do serca mi wlały
Ach! pełna pierś moja tych blasków i chwały —
A jednak mej´ duszy tak smutno!
Wstecz patrzeć bolesno, a w górę nie ważę...
Półsennym tęsknotą... o lotach coś marzę,
Jak orzeł, gdy skrzydła mu utną...

9 marca 1858.

Pannie H. K.

Miłaś twym towarzyszkom, bo zawsze wesoła,
Umiałaś smętek spędzać z młodego ich czoła.
Ale i tobie czasem chmura skroń obsiadła,
Że nie wiedząc dla czego, samaś w smętku bladła.

Nie wiem — czyli to było przyszłości przeczucie?
Lecz nie! niech ci dnie Twoje w żywej płyną nócie —
I rozweselaj zawsze tych, co są strapieni,
I nie pozbądź się nigdy z czoła tych promieni.

7 lipca 1858

W imionniku panny Z. R.

Iie wiem, co wróżyć tobie, szczęście czy niedolę?
Młodaś, więc w twoją przyszłość jasno patrzeć wolę.
)zień dzisiejszy dniem mroku, a jednak Ci płynie
ak dzień róży, nim z pączka w krasę się rozwinie.

Iie chmurz lica, żem w górze o niedoli wspomniał:
'atrząc na Cię, jam ścieżek świata nie przepomniał;
Viem z siebie, że kto w górze pragnie stanąć czysto,
Iusi długo wędrować drogą płomienistą.

'oż patrz jasno! a równo: radość czy tam ranę
iierz jako namaszczenie od nieba Ci dane.
Vyżej! — a wiedz, że choćby z paranionem czołem,
Ia ziemi między ludźmi winnaś stać aniołem!

14 lipca 1858 r

Do imionnika pannie B. Z.

Ja Ci nie życzę chwil przypomnienia,
Bo ono wtedy się budzi,
Gdy nam poszarpią duszę cierpienia,
Lub przesyt znudzi.

Czuj w pełni życie; miej cel w przystani —
W tem szczęścia zagadka cała!
Choćbyś tych nawet, co tu wpisani,
Zapomnieć miała. —

Lwów 5 listopada 1858.

Pożegnanie.

— Szczęście moje! ptaszku ty mój złoty,
Gdzie ty lecisz?
                    — W świat daleki.
— Ty nadziejo, nie ujmiesz tęsknoty?
                    — Nie, na wieki.
— Mój spokoju! duszy mej błękicie,
Co cię zrywa?
                    — Burza grzmiąca.
— Cóż na całe zostanie mi życie?
                    — Pierś boląca!

Tak mię krótko żegnało tych troje,
A tak spieszno iść im było w drogę!...
Jak pod czarem snu groźnego stoję,
Jeszcze myśli mych zebrać nie mogę...
Tak mię krótko żegnało tych troje!

Więc sam jestem? — Nie! już pełza ku mnie
Straszna, czarna, jadowita żmija...
Z pod stóp moich kark podniosła dumnie,

I u ramion mych skrzydła obwija,
Potem szepce, tuląc się do łona:
— Jam twa rozpacz — jam wąż Laokona.

Gwiazdy nocne! wyście się patrzały
Na łzy strasznym zaprawione jadem;
Tyś ich z oczu nie suszył, dniu biały,
Ni twój wietrzyk, co skowronków śladem
Woń i perły ranne w niebo nosił,
Gdy je szepcąc u kwiatów wyprosił.

Ja sam w dłonie pochwyciłem węża,
I o koniec stanowczo pytałem;
A gdym ujrzał, jak szyję wypręża,
Milcząc, w żądło taki raz mu dałem,
Że mi w dłoni skonał gad okrutny...
Bez rozpaczy jestem, ale smutny.

O! ty serce bijące, spragnione,
Kto cię w piersi człowieczej zawiesił.
O! ty serce niezaspokojone,
Kto palące żądze w tobie wskrzesił?!
Bóg? — On tylko spyta się o duszę,
A ja ciebie w piersi nosić muszę.

1858.

Na sen.

Chciałbym usnąć cichem śnieniem,
Jak usypia kwiat na błoni,
Gdzieś przy gaju, nad strumieniem,
Gdzie słowika piosnka dzwoni.
Niech niebiosa mam nad głową
Rozjaśnione gwiazd miljonem,
I zamarłe wszelkie słowo
W tchnieniu nocy niezmąconem.

A w śnie niechaj się rozgada
Ziemia do mnie swojem tętnem,
Jak piastunka, co usiada
Nad kołyską z pieniem smętnem.
I niech ducha mi prowadzi
Po przebytych różnie porach,
Jak ów guślarz, co czeladzi
Prawi bajki o upiorach.

Niech otworzy po tych cudach
Tajemnicze grobów łono,
Bym obaczył ludy... w ludach
Jak w posągach myśl wcieloną.
Niech mi potem, jak się godzi,
Powie żywot ich w miłości,
Jako dziad ów, co obwodzi
Wnuka po rodzinnej włości.

Potem niech mi ducha wstrzyma
Przy rodzinnych wodach, błoniach,
I postawi przed oczyma
Tych od pługów i na koniach;
Niech go długo upomina,
Kędy zwracać orle loty,
Jako ojciec, który syna
Śle na zagon do roboty.

Potem chciałbym się ocucić,
Nim się jeszcze dzień zabieli,
I po gwiazdach okiem rzucić,
Którą z nich mi Bóg wydzieli?
Potem w dłonie porwać dłuto,
I niezłomnej pewien siły,
W głębi łona myśl rozsnutą
Przekuć w posąg braciom miły. —

Luty 1859.

Posępnej L...

(w Albumie).

Dziewczę! ty igrasz niebezpieczną bronią:
Smutek w młodości, to jak deszcz majowy —
Na świeże liście pada i dąbrowy,
Rzeźwi i krasi i wzbogaca wonią;
Ale od długiej mgły i niepogody,
Dziewczę! pamiętaj, więdnieje liść młody

13. lutego 1859.

Sny i prawdy.

(w imionniku).

Jeżeli marzysz, że świat cię obsypie kwiatami,
Snem to będzie;
Kwiaty, kolce, łzy, radość — roznosimy sami
Z sobą wszędzie.

Snem będzie, jeśli nigdy niedoznać zawodu
Masz nadzieję.
Lecz biada! jeźlić z serca ufność już za młodu
Wiatr rozwieje.

Snem poklask i błyskotki, któremi tłum wita,
Snem szał ludzi.
Ale gdy serca dobroć czynami rozkwita,
Raje budzi.

Snem duma, która w piersi ponad wszystko stawa,
Snem zachcenie.
Cicha, lecz najpiękniejsza młodej duszy sława:
Poświęcenie.

Bóg i światy — bez granic, człowiek — muszką drobną
W grób się zsuwa...
Ale nad źdźbłem, nad kwiatkiem i duszą osobno
Anioł czuwa.

2. marca 1859.

---

* * *

I rzekłem sobie: nic mi nie braknie
I dola moja szczęśliwa!
A jednak jeszcze czegoś duch łaknie,
Smutno mu — kędyś się zrywa.

Radbym poleciał na jakiś światek
Błękitem — jak chmurka biała.
I radbym taki obaczył kwiatek,
Jakiego ziemia nie miała.

I radbym ujrzał z martwych wstające
Plemiona z anielską chwałą,
Albo pioruny takie palące,
By się aż niebo spękało.

I słyszę nocne słowików granie...
Wiosenno — błogo tak wszędzie!
I wiem, że kiedyś wszystko się stanie
Piękniejszem... lecz mnie nie będzie.

15. maja 1859.

Noc balowa.

I.

Pogodne czoła, uśmiechnięte lica,
Aż serce rośnie od tyla uroku.
Aniołem każda zdaje się dziewica,
Zapał w młodzieńca płomieni się wzroku.
O! niechże będą niebu szczere dzięki
Za tę radości chwilę niezmąconą!
Niech nas muzyki czarodziejskie dźwięki
W wir tańca żwawo pochłoną!

Już płyniem, lecim: — jak fala za falą
W lotnym się tańcu dościgają pary;
Do koła światła rzęsiste się palą...
My — nie na ziemi już, — lecim w bezmiary!
Dalej! ha! piersiom oddechu już braknie —
Twarze się wszystkie promienią jak słońca,
Ręka drży w ręku — a wzrok wzroku łaknie,.
Dalej, tak dalej bez końca!

II.

Pogodne czoła, uśmiechnięte lica,
Ale w spojrzeniach przyćmiły się blaski,
Ból pierś nie jedną żre i z ócz przeświéca,
Lecz twarze w uśmiech stroją się jak w maski.
Grajcież! niech złudny urok nie opada,
Bo szkoda oczu patrzących tak pięknie.
Niechaj twarz szałem spłomieni się blada,
A w szale serce nie pęknie!

Wy, co się w przeszłość oglądacie smętnie,
Hej! wy zazdrośni — złośliwi — czy biali,
Hej! co kochacie skrycie a namiętnie —
Ręka do ręki — dalej w tany — dalej! —
Ubierzcie jasne maski dla pozoru,
Jeśli nie ścichnie ból, tajone łkanie —
Niechże choć pamięć onego wieczoru
Uroczą w duszy zostanie.

III.

Lecz i muzyka czasem jęknie głucho,
A czasem znowu rozkwili się smętnie:
Czy za oczyma w ślad poszło i ucho
I liczy tony po serc ludzkich tętnie?
Ha! słuch i oko łudzą; — tu wesoło!
Pogodne czoła, uśmiechnięte lica.
Może to moje tak pochmurne czoło
I mglistą własna źrenica?

Hej, hej, w puchary! — ten »miłości bratniej,«
A ten »przyszłości,« — ten »cnocie w narodzie;«
Pijmyż to wino do kropli ostatniej;
Truziny nie ma, — ta w sercach na spodzie.
Gdybyśmy pili ze serc... ale mniejsza!
Weselsze tony rozległy się w sali,
Ha! po toastach już dusza rzeźwiejsza...
Pląsajmyż dalej — a dalej! —

IV.

Pogodne czoła, uśmiechnięte lica,
Ale dreszcz jakiś wstrząsa każdą parę;
Czy przeleciała salę błyskawica
Z baltazarowem: Mane - Tekel - Fare?
A potem co? wszech rzeczy ostateczność —
Smierć, — lecz daleko jeszcze do tej chwili...
Potem, — myślami nieobjęta wieczność
Równo się wszystkim odchyli.

Nie wstawaj, słońce, ze sennej pościeli,
Przytul się jeszcze w różowym obłoku —
O! nadto rychło ujrzym się w dnia bieli
Z pochmurnem czołem i zadumą w oku.
Lecz gdy już ranek zbliża się ciekawy,
Niech się wesołość nie chwieje u końca, —
Niech nas zastanie słońce śród zabawy:
Szałem witajmy wschód słońca.

14 lutego 1859.

Do Zofji R.

Czemu, o siostro! na twych ócz błękicie
Cięży łza?... Czemu taka zadumana
Idziesz przez życie i patrzysz w to życie,
Jakby Cię przez nie nie wiódł anioł Pana?...
On Cię prowadzi i ciernie z Twej głowy
Zbiera i zmienia na wieniec liljowy.

O nie uginaj i nie kłoń się w bolu,
Bo duch twój, siostro, ma gołębie pióra:
Tobie nie ginąć jak trawce na polu,
Którą zabija wiatrem gnana chmura.
O! Ty się wzniesiesz nad ból swemi zpióry
I bolom będziesz błogosławić z góry.

I staniesz kiedyś tam, zkąd Twemu oku
Nowy świat, nowe życie się odsłoni...
Widzę Cię, siostro, śród ziemskiego mroku
Stojącą jak duch biały z lilją w dłoni
I podającą woń z lilijki owej
Na pokrzepienie Twym w drodze cierniowej.

Ale dziś serce Twoje oddaj Panu,
Oddaj je, siostro, z czołem pochylonem;
On Ci je wróci tak, jak wraca z łanu
Rolnikom ziarna: zė stokrotnym plonem.
On Ci je wróci czyste, beznamiętne,
A miłujące wszystko — czasem smętne.

1863.

Ja lubię słuchać.

Ja lubię słuchać, gdy w pogodny dzionek
Nad złote pola wzbija się skowronek;
Niebaczny rojnej pracowników rzeszy,
Z piosnką swobody tam w błękity spieszy
I w jasnem słońcu pióra kąpie swoje —
Jak ja niegdyś myśli moje.

I lubię patrzeć, gdy jeziora toni
Wieczorne niebo nagle się odsłoni:
Ile gwiazd złotych, tyle fal promiennych
Pląsa rozkosznie po lazurach sennych,
A światła tyle odstrzelają zdroje
Jako niegdyś serce moje.

O! złote chwile minionej pogody,
Ja po was tęsknię opętaniec młody!
Jak orzeł w górę ninie myśl ma rwie się,
O! a tak rzadko sercu promyk zniesie?
Przez krwawe trudy — ciernie — ach! przez boje
Może wróci szczęście moje?!

* *
*

Chciałbym ja spocząć u dniestrowych brzegów,
Pośród skał dzikich i cichej krzewiny,
Gdzie tyle marzeń, niby złotych ściegów
Na tkance życia, szło z piersi dzieciny.
Tam by mi orzeł zakrakał pieśń zgrozy,
Zaszumiał wicher i fale wezbrane;
Ptactwo, co nocne kładzie tu obozy,
I hymny ptasząt w jeden akord zlane,
Szmery pół senne — o! tutaj bym marzył,
Żem kochał wiele i nie jedno ważył.

Zbolałej.

Straszny przed tobą kielich! Co dnia go wychylasz,
Co dnia rzucasz go z ręki wypity aż do dna,
I sama go trucizną po brzegi zasilasz
I porywasz go w dłonie, tej trucizny głodna —
I pijesz, żywiąc w piersi szalonych nadzieję,
Że serce się rozpęknie, albo skamienieje.

Toż nazwałbym cię dzieckiem, co w swe drobne dłonie
Pragnie wyczerpnąć przestwór bezgraniczny morza...
Czerpie, a tu się bezdnem urągają tonie,
Jak z potęgi człowieka urąga moc boża.
O! daremnie. — Komu Bóg ducha tak zapali,
Ni lodem go ochłodzi, ni zgasi w łez fali.

Gdybym mógł, to na ciebie rzuciłbym kwiat owy,
Który dzieciom w kołyskę kładą matki wiejskie...
I usypia wnet dziecię i śni sen różowy,
I przez główkę mu płyną dziwa czarodziejskie,
I harmonja aniołów duszę mu zalewa...
A to nad kołyseczką matka *luli* śpiewa.

Lecz kwiat taki na ziemi tylko dzieciom rośnie!
Stań się więc beznamiętną, choć ból szarpie ducha,
I nie przeklinaj serca, gdy jęczy żałośnie,
I wiedz, że duch twój z Boga i że Bóg go słucha; —
Że biały stróż twój anioł koło ciebie stoi,
I — że ciebie Bóg kiedyś w dwa skrzydła ustroi.

Na cmentarzu.

Jaka tu cisza! — wonie jak na łące;
Tam za drzewami ginie blask słoneczny —
Patrz, każde drzewo zdaje się modlące
O spokój wieczny.

Cicho tu, dziewczę! — patrz, tam miasto w dole
Gwarem urąga tej cmentarnej ciszy;
Z śmiechu i biesiad przewala się w bole,
Boga nie słyszy.

Cnota tam — we łzach, prawość — niema chodzi,
W przepychu — zdrada, w uwielbieniu — zbrodnia:
Dziw mi, że jeszcze nad tem miastem wschodzi
To słońce, boża pochodnia.

O cicho! nie bluźń; słyszysz szmer do koła?
Rozlał się skargą na mogił kobierce:
Każdy z tych ludzi ma stróża anioła,
Ma jak my serce.

Klęknij i módl się za nich, liljo droga!
Dusze te, serca — długo szatan psował;
Ach! gdybym czasem nie czuł śród nich Boga,
Tu bym się schował.

Krakowiaki.

Pytałem ja rybkę w kryształowym zdroju:
»Czego tobie trzeba?« Rzekła mi: »spokoju!«

Pytałem ptaszynę na krzaczku powoju:
»Czego tobie trzeba?« Rzekła mi: »spokoju!«

Ciebie nie zapytam o nic, serce moje!
Bo ja się twej strasznej odpowiedzi boję. —

V.

Burza.

Lecą chmury, a dołami
    Słychać wichru szum;
Niebo w dali błyska skrami,
    Ptactwa pierzcha tłum

I okrzykiem przerażenia
    Wita ciemny las.
Słychać gromy, ziemi drżenia...
    Burze, witam was!

Ja sam jeden. Niezlękniony
    Patrzę w czarną toń;
Pierś mi pieści wiatr szalony
    I kołysze skroń.

Bije groźna błyskawica...
    Cicho... Błyska znów...
Ho! przyrody to prawica
    Rzuca miljon słów.

Po chmur czarnym pergaminie
    Złote pismo drga,
I przez oczy szybko płynie —
    Aż do serca dna!

Już odbite, rozbudziło
    Akord w piersi mej:
Dusza rwie się całą siłą
    Do przystani twej.

Burzo dzika! — Hej, z wiatrami
    Igra moja myśl —
Od nich dziksza! A ty skrami,
    Chmuro, słowa kréśl.

Niech je czyta, niech je słucha,
    Aby mogła tu,
Gdy nastanie cisza głucha,
    Płoszyć bezczyn snu.

I ogniste wiązać brzmienie
    W dzikich pieśni stok...
W łono ciemnic siać płomienie,
    Życie siać co krok.

Stój — stój, myśli moja dzika!
    Oto cisza znów:
Burza milknie — chmura znika...
    Pieśni braknie słów!

W Medyce 1855.

Przypomnienie.

Czarne nad puszczą przeciągały chmury,
Na wschodzie gwiazdek paliło się kilka,
I gasły — pomrok okrywał lazury;
Tli jeszcze jedna, coraz bledziej, chwilka —
I ta zagasła...

W puszczy burza wyła,
I huk piorunów rozległ się stugłosy,
Jakby przyrody rozpasana siła,
Szalejąc, ziemię chciała wyrwać z biegu,
Przedrzeć nią wszystkie czarnych chmur zastępy,
I na swych skrzydłach unieść aż w niebiosy,
By tam spoczęła w świetnych gwiazd szeregu. —
Ucichło!...

Leśne szemrały ostępy
Dżdżem, co z listeczków spadał na gałązki.
Pod skałą strumień stok przedzierał wązki,
Pienił się, wzdymał, jako pierś młodziana
W wezbraniu uczuć!...

Ja stałem na skale.
Na pierś mi spadła głowa zadumana,
Wzrok utopiłem w ciemnych nurtów fale.

Wtem piorun nagle chmur rozkrwawił stropy
I sosnę wiekiem brzemienną powalił,
Co szczyt podniosła aż do mojej stopy;
Strzaskał jej wnętrze — pokruszył — i spalił.

Z gniazda wyleciał orzeł przelękniony, —
Zaszumiał skrzydłem — połysnął źrenicą;
Okrzyk się jego rozległ na wsze strony.
Poleciał dalej... i cicho...

Dziewico!
W tej strasznej chwili ja marzyłem sobie:
Gdyby tak piorun myśli me pochwycił,
Błyskiem czerwonym zapalił, oświécił, —
Potem — płomienne u stóp złożył tobie
Jako mnie sosnę!...

Stójcie myśli moje!
Z tysiąca marzeń cudny i uroczy
Powstał jej obraz... we włosach powoje...
Ku niebu zwraca ołzawione oczy,

Tchnienie modlitwy owiało jej lica,
Podnosi dłonie, topi myśl w lazurze...
Cicho... na chmurach migła błyskawica,
Ona — jak anioł zażegnać chce burze...

W głębokim lesie dzisiaj cisza senna,
Jodły wieczornem spowite marzeniem
Darzą przechodnia li gałązek drżeniem;
A puszcza zda się jak otchłań bezdenna...

Dziś, kiedym stanął u olbrzymiej skały,
Szczyt jej osrebrzał cichy blask księżyca;
Wybiegam spojrzeć, czy mi błyskawica
Nie rzuci znowu jasno obraz cały?...
Cisza grobowa!

Przypomnienie tylko
Kołysze serce jedną bladą chwilką.

W czerwcu 1855.

Chata górska.

Mała chatka dranicą pokryta,
Nad nią góra piętrzy się wysoko;
Spodem strumień zarył się głęboko
I wyrywa kamienie z koryta;
Jemu ciasno, więc szumi i pieni,
Srebrną pianę o brzegi w krąg ciska,
A tak huczno, zda się, sto strumieni
Naraz rwie się z twardego łożyska;
Sosna schyla nad chatą ramiona
A żywiczna woń płynie z jej łona.

I ja pielgrzym przyszedłem tu zdala,
I wstąpiłem do chaty górala;
I powitał mię starzec jak syna
A jak brata witała rodzina.
Nie pytali, kto rodzi? jak miano?
Tylko dłonie bratersko ściskano.
Góral wołał: tu przyszedł gość z drogi,
Oto Bóg z nim wstępuje w me progi.

Gdy się rozległ fujary ton rzewny,
Gdy wieczorem dzwon jęknął cerkiewny,
I ze szumem strumienia zmieszany,
Jękł jak wielkiej świątyni organy,
Cała klękła do modłów rodzina,
Stary góral w głos pacierz zaczyna;
A po modłach złożonych tak Bogu
Dano skromną wieczerzę na progu.

Kędy góry tak dzikie, olbrzymie
Wypisały Stworzyciela imię,
Kędy burzą wezbrane potoki
Z hukiem lecą gdzieś w parów głęboki,
W ciągłej walce tu zda się przyroda,
Fantastyczna, niestała i młoda;
Kędy orły się kąpią w błękicie,
Oh! jak cicho upływa tu życie! —
W młodych sercach tu miłość poczęta
Czeka szczęsnej niedzieli, lub święta.
Z wiosną goni lud trzody na pasze,
Zimą wraca wesoły w poddasze.
A gdy komu dzwon śmierci zadzwoni,
To łez kilka się rzewnych uroni,
I gdzieś smutek ucieka z potokiem
A lud patrzy wesołem już okiem.

Ostry Gruń, 14 sierpnia 1856.

Na Czarnej Górze.

Na złomach skał, śród śniegów błyszczących od
[słońca
Wstrzymałem krok, gdzie wicher nagim szczytom
[śpiewa.
W przepaściach noc; przedemną widnokrąg bez końca
Błękitnieje i w błękit sklepienia się zlewa.
W prawo — w lewo — gór pasma, borów ciemne
[szmaty;
U stóp moich obłoki płynące z daleka
Stają i zadziwione patrzą na człowieka,
Który się wdarł bez zaklęć w ich powietrzne światy.

Cicho — ten złoty obłok, co płynie jak fala,
W białej Wiśle pił wodę, z Wisły niesie wieści.
Zbliża się — od promieni słońca się zapala —
Słychać szemranie... westchnął... nie, to wiatr
[szeleści...
A obłok już daleko... płynie drugi, trzeci...
Jasna dal z białych osłon oczom się odsłania
Jak świat cudów mędrcowi w godzinie dumania,
Kiedy w nim Bóg pochodnię natchnienia roznieci.

Lotna dziatwo błękitów! witaj mi na szczycie!
Oczy i myśli puszczam za tobą w przegony —
Lećmy! serce me czuje podwojone życie,
Gdzie spojrzę — wszystko moje — mój ten świat
[zielony!
Tam — poznaję — migoce Dniestr jak srebrna
[wstęga...
Kędyż chaty człowieka? gdzie sławne cmentarze?
Zniknęły roztopione w zielonym obszarze:
Ni chat, ni grobów sławy oko ztąd nie sięga.

Oh smutne to! przeczuwam: — i my w czasów dali
Rozpłyniem się tak samo w nic i w zapomnienie.
Nikt nie wspomni, że żylim tu — żeśmy kochali —
I wędrowiec ztąd kiedyś rzuci tak spojrzenie,
A nie dostrzegłszy okien ni chat, ni cmentarzy,
O tem, że wszystko niknie, posępnie zamarzy.

C i s z a.

Odpowiedź na wiersz B. B.

Hej, życia! hej, ognia! bo duszno nam tak —
I wszystkie się drogi krzyżują nam wspak —
I myśl nam odbiegła daleko... do nieba...
A jej tu na ziemi, na ziemi potrzeba!

Patrzajcie! tam orzeł, król ptaków i skał,
Opuścił swe skrzydła, jak gdyby w dzień spał —
Hej orle do lotu! tam słońce twe świeci!...
Królowi bo duszno, znużony — nie wzleci.

Znużony? Wszak dawno nie puszczał się w lot,
Ni wicher mu szumiał, ni spiewał mu grzmot;
Dla czegóż król ptaków wędrówki nie waży?...
Oh? duszno mu w świecie, o n i e b i e król marzy.

Przeklęte marzenia! tak cięża jak głaz,
Że śmiały latawiec spoczywa jak płaz,
I szpony zatępił, trzymając się drzewa...
I już się nie ocknie — aż g r o m mu zaśpiewa.

Tam nawa na morzu spoczywa śród fal,
Choć żagle przy maszcie, nie może iść w dal,
I sternik oparty oczyma powodzi:
Czy słońce czerwono na wiatry zachodzi?

Nie! patrzcie! w różowy roztapia się świt
I księżyc powolnie wypływa na szczyt,
A sternik przeklina i niebo i morze:
Do lądu chce płynąć, przez *ciszę* nie może.

On błaga o wiatry; te milczą, te spią.
Dłoń chwyta za wiosła, za słabo ach prą;
I z wiatrem leniwym gdy próżno spoczywa,
To sternik z rozpaczy *pioruny* wyzywa.

Tu rolnik swe ziarno porzuca śród skib,
I pełen nadziei już czeka na chléb;
Ziarenko już zeszło, już kwiat się uśmiécha,
Lecz w skwarze bez deszczów więdnieje, usycha!

A rolnik wieczorem zadumany stał:
Czy słońce nie zajdzie na deszcze za wał?
Lecz słońce pogodnie przygasać zaczyna —
A rolnik i niebo i słońce przeklina.

I wyszedł na pole: zniszczenia tu kraj,
Zeschnięte źdźbła sterczą, gdzie kwitnął tak maj!
Zapłakał boleśnie, żal serce porywa, —
A rolnik nie deszczu, lecz burzy wyzywa.

Spiewaku! tyś burzę zażegnać chciał precz.
Patrz! cisza nie wiedzie do celu — lecz wstecz!
Bo prawa odwieczne istnieją w naturze,
Że w życiu na przemian są cisze i burze...

Szaleniec, kto zaraz po burzy chce burz,
Bo w sercu swem własnem utopił by nóż...
Lecz kiedy skwar kwiaty do grobu już nagnie —
To chyba dziecina piorunów nie pragnie!

1854.

VI.

Sternik.

Na falach okręt w dal się kołysze
Lekko, swobodnie jak dziecka sen;
Li okrzyk mewy przerywa ciszę.
Wichry spoczęły śród ciemnych den.

Sternik głębinę mierzy oczyma;
Czasem na północ obróci wzrok...
Westchnie, lub drżącą w oku łzę wstrzyma;
A okręt płynie przez szklanny tok.

Zagrzmiało... wicher zaszumiał w dali,
Nagle ucichły okrzyki mew:
Sternik raz w niebo — a raz po fali
Spojrzał, i zmarszczył ponurą brew.

»Odwiązać łodzie«... rozkaz spełniony —
Osadą zatrząsł piekielny strach;
Zbledli, po morzu gra wiatr szalony,
A chmur powłoka ćmi niebios gmach...

Płyną... skra jasna niebo rumieni.
»Ratunku!«... w okręt uderzył grom.
»Na łódź, majtkowie! — precz z tych płomieni...
Słyszycie dziki pożaru łom«...

»Płyń z nami«! krzyczą w ogniów powiciu;
Sternik maszt ima... »Pierzchajcie tam!...
Ziemia powita was po rozbiciu;
A ja — wygnaniec, gdzież wrócić mam?...

»Ziemia — nie moja, — wygnany z ziemi
W pierzchliwy okręt jam duszę wlał«...
I maszt opasał ramiony swemi,
Jakby go z ogni unosić chciał.

I spojrzał w niebo biedny wygnaniec
I w ciemne bezdno szalonych fal:
Niebo wre łuną, tu morza taniec...
Osada płynie z modlitwą w dal.

Gra wiatr, żar bucha, przestwór spieniony
Co chwila piętrzy z bałwanów gród —
Okręt na szczycie żarem olśniony...
Zda się, że wulkan ocknął się z wód.

Sternik do masztu łono przyciska,
W ogniu już stoi okrętu zrąb.
Spojrzał na północ, z oczu łza błyska...
Słania się fala... padł okręt w głąb.

I znowu senna cisza nastała,
Chmury rozpędził słoneczny blask —
Nad falą mewa skrzydłami grała,
Wydając dziko-radosny wrzask.

1855.

Pielgrzym.

— »Witaj, pielgrzymie! — pewnie z daleka?«
— »Tak! — wielką przybyłem drogę« —
— »Do snu znużona tęskni powieka —
»Odpocznij z nami«... »Nie mogę«...

Rzekł, i pożegnał zagrody w siole,
I ludzi, co go witali;
Tam się drożyna wije przez pole...
On spieszy dalej i dalej.

Gwiazdki migocą i księżyc blady, —
Pielgrzym pagórek omija;
W mgle, po nad rzeką widać osady...
U brzegu chatkaż tam czyja?

Wstrzymał się pielgrzym — odpocząć może,
W niebo utopił źrenicę...
»To nasza chatka!... dzięki ci, Boże!«
I łza mu spadła na lice.

Szepnął wiaterek — promień księżyca
Na trawie chwiejąc się żarzy
I blado wiejski cmentarz oświéca,
A pielgrzym stanął i marzy.

To w cmentarz patrzy, to znów ku wodom:
»Wszak żyją jeszcze — o Panie!...
»Żyją!«... i śpieszyć chce ku zagrodom,
Spieszy, — to znowu ustanie...

Przybiegł, swą chatkę obejrzał w koło,
»Pustka!«... i pies go nie witał.
Zadrżał, ku ziemi pochylił czoło,
Już się o swoich nie pytał.

I nie odpoczął drogą znużony,
W oczach skra dzika się pali:
Pożegnał znowu rodzinne strony,
Poszedł — odpocznie — gdzieś daléj...

14. Maja 1855.

Wieczór u brzózki.

Słońce kona za górami,
Po nad niwy mgły,
A u brzegu nad falami
Tęskna brzózka drży.

— Nie drżyj, brzózko, tak żałośnie,
Tutaj błogo ci:
W koło ciebie kwiecie rośnie,
W górze gwiazdka tli.

Fala do stóp ci się słania,
A od brzasku dnia
Ciągłe ptasząt świegotania,
Ciągle wietrzyk gra.

O! samotna gdybyś stała
Na pastwę dla burz,
Może, może, brzózko mała,
Nie żyłabyś już...

O! samotnie marzyć trudno!
Życie cierpkim snem:
Niby ludno, a odludno
Na przestworzu tem.

Wybłysnęła gwiazdka złota,
Brzózka smutnie drży;
W sercu mojem tkwi tęsknota,
W myślach dzikie skry...

Chciałbym stworzyć serca życie!...
Brzózka tonie w mgle,
Gwiazdki błyszczą na błękicie
I jeziora tle.

Medyka 1855.

Przebyte.

Od brzegu! — Tam błyszczą fale
Odblaskiem słońca uroczo.
Do łodzi! — Orzeł na skale
Patrzy, jak chmury się toczą
Po jasnym nieba lazurze...
Czyż nas przestraszą te burze?!

Łódź płynie — chmury wciąż bliżej —
My z pieśnią płyniemy dalej.
Już grzmią nam powietrzne spiże,
Wiatr miota kłębami fali.
My z pieśnią dziką na łodzi
Śmiejem się z burzy, — powodzi.

O! silniej — silniej za wiosła!
Gromami nieba pieśń nucą. —
Na wir nas burza zaniosła,
Lecz nam się serca nie smucą:
Wiry przetniemy wiosłami...
A któż przestrachem się splami?!...

Umilkły gromy na niebie,
Łódź nasza stoi u brzega.
W zadumie patrzym przed siebie:
W koło się cisza rozlega...
Szmer tylko w trawach się kręci...
Burza już w kraju pamięci.

Medyka, 12. Lipca 1855.

Ucieczka.

Tyś pobladła, drżą ci dłonie,
Dziewczę lube, nie bój się;
Ho — ho! marne ich pogonie,
Nie dosięże Tatar mnie.

Koń chowany w wolnym stepie,
Patrz! jak lekko niesie w czwał,
Ledwo nóżką łzy otrzepie,
Które wiatr po kwiecie siał.

W plon iść tobie?, stój, poganie!
Czekaj na to długi czas,
Ho, tchu pokąd w piersiach stanie,
W jasyr nikt nie pójdzie z nas.

Patrz, my dwoje, a za nami
Stokroć większa wrogów moc,
Śmiej się, luba! choć my sami,
Lecz nas bronią step i noc.

Ho! tam błyska Dniepr w oddali,
Fala szemrze nutą dum,
Wnet poranek się zapali...
Cyt cyt, strzał tatarskich szum.

Koń raniony, koń słabieje,
A już blisko djabły ztąd,
Luba! jeszcze miej nadzieję: —
Wolno płynie Dniepru prąd.

1855.

Smutne pacholę.

U mogiły za dworem,
Przy zachodzie — wieczorem,
Siadło młode pacholę
I płakało na dolę. —

— »Czego płaczesz, pacholę?«
Pytał kozak go stary.
— »Matka poszła w niewolę,
Ojca skłuli Tatary,
A jam został się dziecię —
Oh! samotny na świecie.

»Stryj ma teraz opiekę...
Z łez się moich natrząsa;
Kiedy w smutku dni wlekę,
On słowami mię kąsa,

I nazywa niecnotą —
Za to, żem ja sierotą.

»U naszego sąsiada,
Jest tam dziewczę jak róża;
Słuchaj! — z duszy mi rada.
Serce w bolach się nurza,
Ja ją kocham! — Stryj o to
Znów mię nazwał niecnotą.

»Kiedy byliśmy sami —
Nieraz idąc tą drogą,
Jam ją bawił pieśniami —
Lubej nucić — och błogo!
Ona pieśni słuchała,
I sierotę kochała.

»I tak żyłem; — aż z rana
Stryj podsłuchał mię zdradnie
I rzekł: pójdziesz do pana;
Waszeć spiewasz mi ładnie,
Ja ci szczęście otworzę:
Będziesz pierwszy we dworze.

»Jabym panom miał służyć —
Ja — co własne mam pieśni?

Starcze! radą chciej płużyć,
Jak się wydrzeć tej pleśni?...
Jam nie zrodzon w niewoli;
Służyć pieśnią — to boli!«...

— Ja ci, chłopcze, poradzę:...
Ot — dzielnego weź konia,
Jeśliś silny w odwadze —
To w stepowe leć błonia,
Przez porohów spłyń wały,
A step klaśnie ci cały.

U nas pieśniarz — kochany;
Oh! dla ciebie tam życie!...
Z koszowymi, z hetmany
Gnać na podjazd o świcie,
A w dzień walka lub łowy,
W noc spiew tęskny, bojowy.

Zapał chłopcu gra w oku;
Marzy nocne śpiewanie,
Już pośpieszyć chce kroku...
— A cóż z lubą się stanie?...
...Wrócę do niej! — Wziął konia,
I pogonił przez błonia.

Pędzi chłopiec, — mierzynek
Wrony pianą okryty...
Nie rwij, dziewczę, barwinek!
Tam Dniepr walczy z granity:
Chłopiec w wodę się rzucił,
Do kochanki nie wrócił. —

1855.

Niewierny.

Nie biegaj, dziewczyno,
Po wieści do zdroju,
Dzisiaj dni twe płyną
Błogo, a w spokoju.

Li czasem tęsknota,
Niby chmurka mała,
Oczka ci omota,
W których iskra drgała.

I łezka posełka
Na rzęsy się wiesza;
Ból taki, igiełka,
Kole i pociesza.

Bo wyszywa potem
Nitkami z promienia
Na kobiercu — złotem —
O lubym rojenia.

Po rzece wstecz fali
Czółno się kołysze;
Niem z boju wracali
Nucąc towarzysze:

— Nie biegaj, dziewczyno,
Bo fala nie wróżka,
Złote sny zaginą
U twego serduszka.

Twój młody — pancerny
Walczył śród Podola;
Pancerny — niewierny,
Nie powróci z pola.

Milsza mu od ciebie
Na polu mogiła...
Powiedział: aż w niebie
Odpyta mię miła.

— Zaniosą mię brody,
Kochanku, do ciebie...
Wskoczyła do wody...
Czy się zdybią w niebie?

Przez rzeki głębiny
    Czółno płynie dalej:
Oj szkoda dziewczyny!
    Chłopcy zaśpiewali.

1855.

Domowa piosnka.

Spieszył wędrowiec obcą krainą,
A droga przed nim daleka;
Wtem go piosenki tony opłyną,
Wędrowiec stanął — i czeka.

Słucha zdziwiony, a z drżącej dłoni
Kostur pielgrzymi wypada:
Stron to rodzinnych piosenka dzwoni,
Łzami na sercu osiada.

Tam ją nuciła jego kochana
Wśród cichych gwarów wieczora;
Tu wszystko obce, — pieśń tylko znana,
I grajek inny i pora.

Nie pyta grajka, zkąd piosnkę umie,
Lecz kołysany dźwiękami,
O swej krainie marzy w zadumie,
O siole między lasami.

Potem grosz wcisnął do grajka dłoni,
Uśmiechy ze łzami miesza,
Myśli wróciły z marzeń pogoni...
On dalej, dalej pośpiesza.

1855.

Odpowiedź na „Zaskarżenie“*).

(do Adama Pajgerta).

Wyjdź, bracie młody, za twoje sioło,
Tam na mogiły na polu,
I przytul usta, serce i czoło:
Im wyspowiadaj się z bolu.

Może rozpękną sercem ogrzane,
I wstanie hufiec wiekowy,
A ty mu pokaż struny stargane,
Pokaż cierń serca i głowy.

---

*) Wiersz ten, umieszczony w N. 36. »Nowin« z r. 1856, napisał Romanowski w Marcu 1856 r. z powodu poezji Adama Pajgerta w N. 34. tegoż pisma umieszczonej. — Odpowiedź ta wywołała drugi utwór Pajgerta, który się w N. 41. »Nowin« pojawił Zamieszczamy tu oba utwory

W posępnej nocy, przy surm odgłosie
Rozwiną sztandar, usiędą,
Krwawe pancerze złożą na rosie,
I serca z piersi dobędą.

Pajgerta, do najudatniejszych jego wierszy należące: *Zaskarżenie* i *Do Mieczysława R.*

ZASKARŻENIE.

Bracia poeci!
  Chciałbym ja z wami
Lecieć, jak leci
  Orzeł z orłami!

W błysku i grzmotu
  Wzbić się dziedziny,
Nie starczy lotu!
  A nie z mej winy!

W strńony zabrzęknąć
  Chcę po dawnemu,
Nie chcą oddźwięknąć!
  Czemuż to, czemu?

I stulam smutnie
  Skrzydła podcięte!

Patrzaj w te serca! co tam gorzało,
Na stróny miłością chwytaj!
A jeśli-ć jeszcze tego za mało —
To już się mężów nie pytaj.

U mojej lutnie
Stróny pęknięte!

Dajcież tu radę!
Wam ja się skarżę
Na taką zdradę,
Bracia pieśniarze!

Jej to są dzieła!
Mnie białolica
Skrzydła podcięła!
Czarnoksiężnica...

Oh białolica!
Piękna, nieczuła!
Mnie ta psotnica
Lutnię popsuła!

(Adam Pajgert).

Ale pośpieszaj w krainę włoską,
Petrarki spytaj się cienia,
Jak przyhołubić dziewicę boską,
I zakląć lubej spojrzenia.

DO MIECZYSŁAWA R.

(W odpowiedź na wiersz zawarty w Nrze 36-tym „Nowin").

Gdy się na chwilę od was wykradłem,
Tyżeś to wątpił, że jeszcze wrócę?
Tyżeś to myślał, że już przepadłem?
Że tylko dumki u nóg Jej nucę,
A przy Jej źrenic rozblasku boskiem
Serce poety stopniało woskiem?

A gdyś usłyszał piosnkę z daleka,
To już myślałeś, żem łzą się zalał?
I rzekłeś sobie: »Szkoda człowieka!
»Bo oto z męża na dziecko zmalał;
»Zrzucił cierniowy wieniec ze skroni,
»I gdzieś za szczęściem latawcem goni!«

I każesz stróny pleść mi jedwabne,
Każesz do włoskich spieszyć okolic,
Piać jak Petrarka piosnki przywabne,
Aby wzajemność zdobyć białolic,

A wtedy nawiąż stróny z jedwabi:
Lutnia, co brzmiała żelazem,

Jakbym niczego nie chciał już więcej!
Jak tylko uśmiech zyskać dziewczęcy!

A nie odgadłeś, żem się nachylił
Tylko po nowy cierń ostry, twardy,
Żem się tą marną piosnką rozkwilił
Tylko na próbę: czy z pieśni hardej,
Co w pancerz wrasta, jeszcze cierpienie
Potrafi dobyć — choćby westchnienie?

A dziś we waszem stając znów kole,
Chociaż powracam na twarzy bladszy,
Ale mam większy spokój na czole,
Bom znów o jedną boleść bogatszy,
O jedną więcej przetrwałem burzę,
O jedną więcej urągam chmurze.

A nie mów: »Marny ból osobisty!
»Bratnią li wolno płakać żałobą«.
Bo nikt zaprawdę nie był tak czysty,
Żeby aż przestał samym być sobą!

Niech jak turkawka grucha i wabi,
Łzy i uśmiechy ma razem.

1856.

A w każdym bolu, choby we własnym,
Duch się hartownym staje i jasnym.

I oto w szersze skrzydła porosłem,
Twardszem nawiązał stróny ze stali,
We waszym gronie czołem wyniosłem
Znowu wyzywam piorun, co pali;
Do grzmiących pieśni, do orlich lotów,
Teraz, o bracia! znowum ja gotów!

A gdybym kiedy znów was porzucił,
Ty już nie zwątpij o mnie, mój druhu,
Lecz powiedz: »Wróci, jak niegdyś wrócił.
»Wróci silniejszy, bielszy na duchu,
»Bo jakąkolwiek buja dziś stroną,
»Duszę ma w słońce jak my zwróconą!«.

(Adam Pajgert).

Buława Rewery.

Twarz taka pogodna, pod hełmem włos siwy,
Na czole promienie spokoju;
Powraca z daleka, choć starzec sędziwy,
A jeszcze przewodził tam w boju.

Lecz tęskno Rewerze po bojach spoczynku,
I życia z rodziną w zagrodzie,
I gędźby przy szklance i dum przy kominku,
I słońca zachodu w pogodzie.

O dosyć mu krwi już — i dosyć już chwały,
Zdobytej na hordzie, Osmanie
I Moskwie i Szwedzie; bohater on biały
Już doma do grobu zostanie.

Sześćdziesiąt lat gromi, i wiatry stepowe
Prześciga zwycięzką pogonią;
Na mrozach północy obielił on głowę,
A pierwszy, gdzie w szable zadzwonią.

A wielcy Rewerze rówieśni i druhy,
Wódz Stefan na Czarnce i Jerzy,
Hetmani, co szwedzkie kruszyli łańcuchy,
Orłowie sarmackich rycerzy.

Dziś spokój w Koronie; śmierć w bojach nie miała
Dla piersi żelaznych tych gromu,
Więc myślił Rewera: bądź, Panie, Ci chwała,
Żywota dokonam już w domu!

Tam syn mu w sen wieczny zaciśnie powieki,
Po życiu burzliwem i srogiem;
Rozmawiał on z wrogiem jako step daleki,
Dziś pragnie rozmowy już z Bogiem.

Tu jego już błonia, bogate tak w plony,
Koń stąpa drożyną zamkową;
Tam rolnik sędziwy swe orze zagony,
I nuci skowronek nad głową.

Rewera tak dawno nie widział już pługa,
Więc stanął, —: szczęść Boże! zawoła,
I patrzył jak czarna krajała się smuga,
I radość błyszczała mu z czoła.

I wzrok się promieni; wtem rolnik się zwrócił,
Poznaje, — pan jego wielmożny;
Więc skoczył od pługa i do nóg się rzucił,
— A witaj, hetmanie, w dzień zbożny!

— Nie hetman jam, bracie, orz dalej twą rolę,
Orz śmiało, ja wracam do domu;
Tatarzyn już końmi nie stłoczy twe pole,
Ni Bohdan przyniesie ci gromu.

I rolnik usłuchał, pług sprawił, gnał woły,
Pług w ziemię się zaciął, — ustawa;
Pękł lemiesz, — patrzają — o święci Anioły!
Pod skibą hetmańska buława.

Podnieśli, — śniedź starli, — i podziw ich ima.
A rolnik przy pługu uklęka,
I patrzy na niebo łzawemi oczyma,
I rzewną modlitwę wyjęka.

Od wschodu bo dziwnie widnokrąg się mroczy,
I ptactwa mnogiego tam wrzawa;
Wtem rolnik się zerwie, do wodza przyskoczy:
— O panie, to twoja buława!

— Weź broń twą, hetmanie, jam znachor twej włości,
Bóg czasem mi zgadnąć pozwoli,
A przyszłość wyczytać umieją i prości;
Buławę weź w dani z twej roli.

Rewera się zdumiał: — Żyw jeszcze przez Boga!
Nasz hetman koronny żyw jeszcze!?
A rolnik odpowie: — Idź, panie, na wroga,
Źle wróżą nam ptaki te wieszcze.

— Patrz, lecą od wschodu, tam burza się zrywa,
Ptak darmo od gniazda nie leci:
Znać grzmi tam janczarka i burczy cięciwa,
Hetmanie, pospieszaj do dzieci.

Rewera na trakt się zawrócił już lwowski,
Bodzony ostrogą koń bieży,
Wieść leci po drodze: zginął Kalinowski!
Rewera i wierzy — nie wierzy.

I modli się w duszy rolnika słowami:
— O Boże! czyż nigdy spokoju?
Czyż wiecznie twój piorun grzmieć będzie nad nami?
Ach! wiecznież nam latać do boju?!

ı wjeżdża do Lwowa, a dziwny gwar w grodzie,
I odgłos go wita studzwonny,
'itają go pany i ludu powodzie:
— Hej! wjeżdża nasz hetman koronny!

· O ratuj! hetmanie! — wieść straszna, od Boha,
Chmielnicki Bohdanko znów w polu;
:gł hetman koronny na błoniach Batoha,
A Kozak już hula w Podolu!

Zkąd wieści, rycerze? — hej szlachta, Bóg z wami!
Podano list króla, — buławę:
:wera list czytał i zalał się łzami,
I pomknął na boje, na krwawe.

1857.

Starosta Żegocki.

Obrazek z wojen szwedzkich, według pamiętników
Patryka Gordona.

I.

Na niebie tlało purpurowe zorze,
Dzwon głosił pacierz w wieczornej godzinie;
W dworze starosty, w babimostskim dworze,
Szlachta za stołem siedziała przy winie.
Lampa u ścieli błyskała ponuro,
Na srebrnolitym chwiejąc się łańcuchu.
I czoła gości przysłonięte chmurą,
Czuć smutek w sercach, jakiś rozstrój w duchu:
Darmo się węgrzyn w złotych czarach pienił,
Umysłu szlachty w niczem nie odmienił.

I sam gospodarz gościom snać nie rady,
Co chwila wszczęte przerywa rozmowy,
Zmilknie, westchnienie wmięsza do biesiady,
Lub w krąg potoczy wzrok hardy, surowy,

Potem się ocknie, i do kapitana
Szweda słów kilka obojętnych rzuci,
Przysunie jadło lub pochyli dzbana,
Opadły wylot na plecy odrzuci.
Lecz choć zabrzękną nalane kielichy,
Wraca wnet cisza, ucztują jak mnichy.
Aż sam Szwed pocznie: »Ej dobrzeć to przecie
Służyć w szeregach Karola Gustawa.
Byleżby tylko wciąż wojna na świecie!
W bojach: zwycięztwa, zdobycze i sława
Z ręki fortuny padną nam jak kwiecie.
Kiedy nas tylko nasz król poprowadzi,
Żyjem jak w raju, bo z serca nam radzi, —
A w Polsce — wierzcie! jego berła trzeba,
To człek z pewnością zapomni i nieba.
I nalał puhar, piosenkę zanucił;
Szczęściem nie widział, wzrok wlepiwszy na dno,
Jakiem spojrzeniem starosta nań rzucił,
Jak lica szlachty kraśnieją to zbladną...
»Oj nie tak u nas, — kładąc puhar, rzecze, —
Ojczyzna moja, Szwecja, kraj ubogi.
Śród skał, gór, jezior, dzień żmudno się wlecze,
A jakie zimy, a często głód srogi!
To też wojujem... Ale mnie czas drogi!
Do wojewody Landgraf mię wyprawił,
Bym dlań na jutro zmówił polowanie;
Wstąpiłem do was, tak dobrzem się bawił...
Dzięki wam za to, starosto, mój Panie!
Powstał, płaszcz zawdział, wszyscy z nim powstali,
Szwed się pokłonił i wyszedł ze sali.

Było milczenie: ci schylili głowy,
Myśl topią w sercu, serce strasznie boli.
Tym na oblicze wstąpił mars surowy,
Ci po zbroicach wodzą wzrok sokoli,
Jakby pytali;... a na każdej twarzy
Jakaś myśl orla lotne skrzydła waży.

Starosta jakiś czas chodził po sali,
Stawał, co chwila szlachtę okiem mierzył,
A pierś się wzdyma, a wzrok mu się pali;
Potem prawicą po szabli uderzył,
I rzecze: »wstyd mi, ot tej karabeli!
Gdyby to nie gość, spisałbym dyląga.
Patrzcie! Szwed — żmija! chleb z nim człowiek dzieli...
Nie dość, że ciśnie... ha! jeszcze urąga.
Dobrze mu tutaj, a w Szwecji był głodny...
Tutaj krew pije... oj! królu Karolu!
Nie długo ponoś błękit nasz pogodny...
Gromy do czasu zaspały się w polu,
Landgraf poluje, — on szwagier królewski.«
Postąpił, dumał. »Stój, mości landgrafie,
Niechno się rozdni firmament niebieski,
To zapolować ja lepiej potrafię!«
Poprawił kontusz, dumnie rzucił głową:
»Panowie bracia, prosiłbym na słowo.«

Radzili długo, — ciche były rady,
Tylko się w oczach migał odbłysk gromu.

Potem starosta rzekł: »bracia sąsiady!
Nam się na długo trzeba wyrzec domu...
Ni żon ni dzieci przytulim do siebie,
Chyba zwycięzcy, albo aż tam w niebie.
Czy zgoda?« — »Zgoda!« — Więc zaklaskał w dłonie,
Weszło pacholę, kazał siodłać konie,
Wezwać gajowych; tym coś kładł na ucho:
»A teraz na koń, w polu noc i głucho.«
Wsiedli, przed nimi łan śniegu się bieli,
Nad nimi gwiazdy. — Jak ptacy lecieli.

II.

Mroźny się ranek iskrzył nad Kościaną.
Jeździec, co burką stał okryty w krzakach,
Słyszał, jak najpierw z baszty sygnał dano,
Zachrzęściał łańcuch, potem most spuszczano,
I Szwedów grono na dzielnych rumakach
Z bramy parami wjechało na błonie,
I w wyciągnięty kłus puścili konie.

Na przedzie Landgraf w czarny płaszcz spowity,
Wiatr mu unosił kapelusza kity;
Dzielnej postawy, jak przyrósł do siodła.
Tuż para chłopców smycz ogarów wiodła,
Dalej tłum liczny w barwach różnych dworów,
Niby zmięszanych siedm tęczy kolorów.
Dalej starszyzna, podkomendni, pany,
Dragonja, pazie, z psami dojeżdżacze.

Landgraf myśliwy wielce zawołany,
Toż wszystkim serce od radości skacze...
Z takim bo strzelcem jak nie iść na łowy?
Gdy wrócą, bankiet czeka ich gotowy.

Lecz nie tak dumał jeździec skryty w krzaku,
Znać mu ten widok serca nie zachwyca.
Gdy za Landgrafem w dal obrócił lica,
Z ócz mu tryskała gniewu błyskawica.
Dobyta szabla na litym temblaku
Szczękała głucho, bijąc się o siodło,
Czy drżała ręka, że ją serce bodło?
Czy szabla, z wiatrem chwiejąc się swobodna,
Przypominała się ręce krwi głodna?

Jeszcze chwil kilka patrzył, w której stronie
Orszak myśliwców rozbiega się, tonie.
Potem się na wschód popatrzył — coś zoczył,
Nawrócił koniem, w czwał do lasu skoczył.
Gdy z oczu znikał pośród drzew szeregu,
Z pod kopyt za nim rwał się tuman śniegu.

Znów trąbią z baszty, most opada znowu,
Długi rząd wozów stanął w pozdłuż rowu;
Chłopi z pobliża dla szwedzkiej osady
Z lasów do miasta zwieźli palisady.

Lecz ledwie stanął pierwszy wóz na moście,
Zaskrzypiał, obie precz odpadły osie.
A tam od lasu co za nowi goście?
Gdzie lecą! groźne »hurra« grzmi w odgłosie,
Koń obok konia sadzi pełnym czwałem,
Męże w zbroicach, a ten, co na przedzie,
Lejc puścił wolno, wprost na most ich wiedzie...
Ha! to Żegocki ze szlachty oddziałem!
Wpadli, straż ścięta, już w mieście, już w rynku
Razem w bojowym stanęli ordynku;
Za nimi chłopstwo z siekierami wpada, —
Opór nie długi — Szwed oręże składa.

»Chwała bądź Bogu! dotrzymałem słowa —
Rzecze starosta, — złote czasy wrócą.
Ha! Sącz, Tyszowce, Litwa, Częstochowa...
I Wielkopolsce już nic nie zarzucą.
Ale Kościana nie koniec połowu,
Musim po braci w krąg rozesłać gońce,
Bo nim w tym lesie utopi się słońce,
Gość nam zawita, Landgraf wróci z łowu.
Więc przyjmiem gości; potem, kto brat zwie się,
Wie, gdzie rycerzy orla cnota niesie;
Z Głdą się mięszała krew nasza, nie woda,
A dziś nie zmyta Opalińskich zgoda« *).

*) Ugoda pod Uściem, zawarta ze Szwedami przez Opalińskiego Krzysztofa i Grudzińskiego, mocą której oddali ci dwaj senatorowie całą Wielkopolskę pod panowanie Karola Gustawa.

Właśnie siadała szlachta do wieczerzy,
Gdy zadyszany wtem goniec przybieży:
»Już jadą!«.
»Dobrze! w sam czas gościa mamy.
Lecz chodźmyż Pana powitać u bramy,
Jam dotąd hołdu jeszcze mu nie złożył«.
Rzekł pan starosta i kołpak nałożył.
Wyruszył raźno, z bracią ramię w ramię,
I wnet stanęli w otwartej już bramie.

Nadjechał Landgraf, źle znać poszły łowy:
Był gniewny, na pierś schylił twarz ponurą,
Na wzrok mu spadło z kapelusza pióro,
Wtem się Żegocki ozwie temi słowy:
»Wielki mi splendor witać ciebie, Panie!
Racz-że zsiąść z konia! podzierżym strzemiona.
O miło będzie twym sługom w Kościanie
Osładzać troski książęcego łona.
Mości Landgrafie, przyjmcie serca radę!
Ale najpierwej prosimy... o szpadę!«

Wzdrygnął się Landgraf. — »Co to? — co to znaczy?«
Spojrzał, — tłum w koło otaczał go zbrojny.
Poznał rzecz całą, — drżał z gniewu, z rozpaczy,
Lecz znów Żegocki... »Zwykły to los wojny.
Niechże się waszmość długo nie przeciwi.
Czas już pomyśleć o wieczornym chlebie.

Krótko — twą szpadę! bo pokąd my żywi,
Ztąd już, mój ptaszku, nie puścimy ciebie«.

Lecz Landgraf szpadą błysnął nad głowami,
Chciał ciąć, wtem z baszty kilka strzałów padło.
Zachwiał się, lico zsiniało mu, zbladło.
Upadł, krew z piersi trysła strumieniami,
Skonał.

Na stronę tłum w z grozie się cofa,
A wtem Żegocki: »No podnieść Landgrafa,
Skonał?!...« Coś dumał, potem nagle rzecze:
»Requiem aeternam! To nie człowiek zrządził,
Lecz Ten nad nami znać już tak osądził,
Miejcież, Panowie, o pogrzebie pieczę«.
Potem do szlachty: »o! jak miłe zdrowie!
Wielki to ogień wszczyna się, panowie!«

III.

Kościana w gruzach, głucha noc dokoła.
Nad zgliszczem wisi chmura dymów drżąca,
Żarzą się węgle, czasem skra gorąca
Skoczy ku niebu i o pomstę woła,
Jakby z pogromu dusza wzlatująca.

Dni kilka przeszło, dziś Szwed zdobył mury,
Wrzał bój, z obrońców nikt się nie ocalił,
Przemogła liczba, a mściciel ponury
Lud wszystek wyrżnął, miasto zniszczył, spalił.

Ale jest jeszcze garstka zachowana
Dla straszniejszego mściciela wyroku.
Tam stara wieża, dymem w krąg owiana,
Słabem światełkiem migoce z pomroku,
I niby olbrzym zmartwychwstaje z cienia...
To światło błyska z poza krat więzienia.

Czterdziestu szlachty siedzi razem w turmie,
Lampa się blado świeci u powały.
Wzięto ich z murów, gdzie walczyli w hurmie;
Z nimi Żegocki, ich dowódca śmiały,
Los ich podziela spokojnie, choć smutny;
Usiadł pod oknem, mówi psalm pokutny.

I była cisza, o szare sklepienie
Czasem się tylko odbiło westchnienie,
Lub jęk, gdy kogo twardy więz przycisnął,
Padło przekleństwo, lub strumień łez trysnął.
Ogień gasł w sercach, klęską duch się wzdrygnął,
Upadł, z pogromu skrzydeł nie podźwignął:
Gdy dłonie skute, piersi tylko drażni
Strachem wylęgłym z czarnej wyobraźni.

I najpierw szmer się po więzieniu szerzy
Nakształt tłumionych skarg albo pacierzy.
Po chwili słychać urywane słowa,
Pełna goryczy wiąże się rozmowa;
Nagle jęk zabrzmiał: »Zorza niedaleka!
Boże! a jutro — jutro ço nas czeka?«
»Co jutro czeka?« Żegocki odpowie —
»Ho! o pardonie nie marzcie, panowie!
»Jutro śmierć nasza — na to Szwed nas chowa,
»Za śmierć Landgrafa nas każdego głowa«.
A kilku na to: »Tyś wiedział, starosto!
I w to nieszczęście zawiodłeś nas prosto?
Niechże cię nieba pozbawi ta zdrada!
Krew nasza piekłem niech na ciebie spada!

Żegocki milczał; gdy ucichły skargi,
Chciał mówić, z gniewu trzęsły mu się wargi;
Długo po szlachcie okiem wodził hardo,
Potem rzekł: »Serca nie truj mi pogardą,
Rodzie! co tylko siebie widzisz wszędzie.
Kiedyż wam w duszę boże światło zstąpi?!
Ja żyłem — bożej prawicy narzędzie,
Teraz upadam. — Niech mię Szwed nie skąpi!
Ale upadam jak złamane dłuto,
Którem, zaiste! wielki posąg kuto.
Boga pochwalmy, że się tak nam szczęści!
Bo jako żywo nie giniemy marnie.
Płomień stłumiony wnet gmachy ogarnie;

A ze krwi mojej, z każdej ducha części
Sto dusz żelaznych — sto żelaznych pięści
Na tej sprawionej ziemi Bóg odrodzi!...
Módlmyż się teraz, tam już zorza wschodzi«.

Klękli, w modlitwie utopili dusze,
W sercach już spokój — Bóg odjął katusze.
Dzień im czterdzieści odsłonił szubienic,
Niby czterdzieści białych oblubienic.

Styczeń 1858.

Jeniec.

Był jeniec u hana na Bakczyseraju,
Wyniosły a piękny, z lackiego był kraju,
Rąk dwoje miał w łańcuch skowanych;
I była Greczynka, kwiat cudnej urody,
Co jońskie niedawno ozdabiał ogrody,
A biała, o licu rumianych.

Oczyma po sobie oboje powiedli,
I odtąd o siebie truchleli i bledli,
I noce spędzali bezsenne:
Po morzach jej oko błądzi z minaretu,
On w stepy pogląda z wyniosłych gór grzbietu,
Oparty o bryły kamienne.

Śród woni — przy cichej, wieczornej pogodzie
Oboje się w hańskim spotkali ogrodzie,

Greczynka doń ozwie się w strachu:
»Mnie kupiec ztąd dzisiaj zabierze wenecki...
»Płyń ze mną ty, jeńcze, w daleki kraj grecki,
»Na wolność. — Lecz kochasz ty, Lachu?«

»O! do mnie! na serce! tu, dziewczę, do łona!«
I w łańcuch skowane rozszerzył ramiona,
Aż wszystkie wyprężył ogniwa;
Lecz darmo ku niemu rzuciła się branka:
Ją łańcuch od lica, od serca kochanka
Odtrącił, jak strzałę cięciwa.

Upadła, a jemu wzrok gniewem opłynął,
I krócej w ten łańcuch rąk dwoje obwinął,
I targnął, aż z szczękiem prysł w dłoni.
Odrzucił... Lecz nagle, czy grom weń uderzył?
Na oddech swobodny tak piersi rozszerzył,
I wybiegł z ogrodu... Gdzież goni?

Na polu stadnina tam pasła się hana,
On dosiadł bieguna, a droga mu znana,
Po gwiazdach, po wietrze ją czuje...
I płacze Greczynka na lata swe młode: —
Nad miłość — on orlą przenosi swobodę,
Ku niwom ojczystym czwałuje.

Poleciał — w rodzinnym obejrzał się kraju;
Już wolny, lecz wspomnień o Bakczyseraju
Nie zabył, pamięta dziewicę.
Po bojach, na łowach, czy doma przy szklance,
Ktoś wspomni o Krymie, a on o kochance —
I łzy mu się stoczą na lice.

Luty 1858.

Wnuczę mężów.

Była sala gotycka, sklepiona,
W niej portrety rycerzów i herby;
Po nad orłem krzyż rozwiódł ramiona,
Zbroje, miecze, a na mieczach szczerby,
I to wszystko z onych czasów chwały,
Czem gorzała młodość i siwizna:
Oczy mężów w orła, w krzyż patrzały,
Na ich czołach krzyż, albo ojczyzna.

Tam przy wielkim marmurowym stole,
Tam nad księgą siedziało pacholę.

Piękne było pacholę, włos jasny
Kędziorami wił się w koło głowy,
Duże oczy i uśmiech ust krasny,
Lica białe, na nich cień różowy.
Czoło wzniosłe, motylów dziś pole,
Słodycz matki!... bliska przyszłość może
Ziarno myśli posieje w tę rolę,
Lub ją piękniej bliznami poorze.

Księga miała na karcie herb złoty,
W niej praojców spisane żywoty.

Czyta chłopię, twarz mieni się zwolna,
Zwolna oko nabiera promieni;
Pierwsza praca poczęta mozolna:
Młoda dusza wyrywa się z cieni
W światło... Wzrokiem potoczył po mężach,
W krzyż i w orła utkwił duże oczy,
Potem wzrok swój wstrzymał na orężach
I już łzą mu po licu się toczy...

Dwoje skrzydeł poczuło pacholę,
Dwoje skrzydeł — i bezbrzeżne pole?

Weszła matka, znój starła mu z czoła:
»Pójdź surducik przymierzyć, zawoła,
»A u cioci na jutrzejszym balu
»Będziesz jakby wycięty z żurnalu«.

1858.

Niepewna.

Pochmurnym wzrokiem wodziła po niebie
Panieneczka;
A potem wyszła, szepcąc coś do siebie,
Z ogródeczka.

Z kosturem w ręku szedł starzec od boru,
Włos miał biały;
Szumiał Dunajec — a gwiazdy wieczoru
Z fal błyskały.

— Starcze! te gwiazdy czego tak wysoko? —
— Nie wiem, rybko. —
— A ten Dunajec czy płynie głęboko? —
— O! i szybko! —

— A co tam, dziadku, nad temi gwiazdami? —
— Świat bez końca. —
— A pod Dunajca sinemi falami? —
— Nie ma słońca! —

— Czy ja na gwiazdach zdybię miłą duszę? —
— Ha! któż powie?..
— Idź ty do dworu... ja tu zostać muszę...
— Co wam w głowie?!

— Nic!... Marzyć będę o cichym wieczorze. —
— Marzcież miło. —
Ale nim starzec stanął w białym dworze,
Jej nie było.

1858.

Pobożna.

(Improwizacja).

Zielony brzeg otaczał staw,
Tam siadło dziewczę młode.
Płakała rzewnie (Boże zbaw!)
A łzy padały w wodę...

Rybak ją pyta: »Co ci to? —
Kto ciebie tak zasmucił?«
A ona szlocha... »Bogdaj go!...
Kochanek mnie porzucił!«

»Więc chcesz się topić?!« — »Nie! ach nie!«
Odrzekła mu z pospiechem: —
»Bo wszyscy ludzie mówią mnie,
Że to jest wielkim grzechem«.

1858.

Zaklęta ustroń.

(Bajka z wieczornic).

Czarne skały do okoła,
Z pod skał strumień w przepaść leci.
Mgła okrywa jodeł czoła...
A na pniach się próchno świeci.
Opowiadał góral stary,
Że tu czart wyprawia psoty,
A przechodniów straszą mary,
A w skwar zawsze biją grzmoty.

W noc tysiące ogni błyska
Nad strumienia śniadą falą,
I wychodzi mnich z urwiska
Z okrwawioną w ręku stalą,
I zaklęte mówi słowa —
I stal w własnych piersiach chowa.

Biada! ktoby pił z tej wody,
Którą owy mnich zażegna:

Oszaleje, — jeśli młody;
Szczęśliw — z szczęściem się pożegna;
Trwożny — djabła spotka wszędzie;
Wierny, ufny, — wiarę straci;
A kto w gniewie — mścić się będzie;
Smutny — duszą już zapłaci. —

Wiele ludzi na wiek zbladło,
Bywszy chwilkę w tej ustroni.
Wiele ludzi tam przepadło,
Jak przepada kamień w toni;
To też zawsze ją wędrowiec
Rad obchodzi manowcami,
I najśmielszy górski łowiec
Nierad zajrzy tam za psami,
Bo ich zawsze spotka licho —
O! a licho — nie spi cicho.

— Było u nas młodych dwoje
Zakochanych, — mówił stary —
A już głową moją stoję,
Nie ma w świecie takiej pary:
On jak sosna, a dziewczyna —
Najpiękniejsza z gór malina.

Raz się Hanka tam zbłąkała,
Tam w te skały po jagody —
I odtąd się uśmiechała,

Byle jeno chłopak młody...
Wasyl bardzo się zasmucił,
Potem z Hanką się pokłócił
I rodzinną chatę rzucił!

Już się miało ku jesieni,
Już mróz pierwszy zbielił płonie,
Aż tu Wasyl stanął w sieni.
Hanka wita, klaska w dłonie,
I z radości skacze, szlocha,
I Wasyla jak wpierw kocha.

Wasyl Hankę wita rady —
Lecz był jakoś bardzo blady.

I wybrali się w niedzielę
W sioło owce zająć z płoni.
Wasyl z Hanką mówił wiele...
Ku zaklętej szli ustroni.
Dziewczę chętnie szczebiotało
I na drogę — nie zważało.

I usiedli na kamieniu,
Kędy w przepaść leci woda.
»Jak tu dobrze w jodeł cieniu!«
Zawołała Hanka młoda.
»Jak tam woda w przepaść bije!...«
I objęła chłopca szyję.

A on chwycił ją w ramiona:
»Kochasz ty mnie szczerze, Hanko?«
I przycisnął ją do łona...
»Będziesz wierną mi kochanką?«
— »Kocham!« rzekła piękna Hanka,
»Będę kochać bez ustanka!« —

Tak ściskając się tam stali,
Nad przepaścią tak się chwiali,
»Mój« i »moja« powtarzali. —

»Już nie zdradzisz?« — »Nie!« odpowie...

Wasyl Hankę przy tem słowie
Obu dłońmi wziął w połowie,
Ramionami ją otoczył,
I tak dzierżąc — w przepaść skoczył.

Wieczór się tam śmiała sowa,
W nocy hulał mnich wśród burzy...
Tak przepadli, — a ich słowa
Tam wam każdy krzak powtórzy.

1858.

Ptak wędrowny.

I.

Szukali siebie śród tłumów wzrokiem,
Sam na sam milczeli,
I o uczuciu w piersiach głębokiem
Wspominać nie śmieli.
A dusze ich były jak zgodne dwie lutnie,
Czy cieszyć się, dumać, czy westchnąć wraz
Przeczuwać siebie umieli. [smutnie,

On był ułanem legjonów polskich,
Syn niw podolskich.
Ona Hiszpanka, alkada dziecię:
Jedyny skarb na tym świecie.

II.

Gdy Saragosę Francuzi wzięli,
Wdarłszy się w wyłomy,

Męztwo mordami odpłacić chcieli,
I wpadali w domy.
I straszne się jęki rozległy kobiéce,
A ułan z rozkazem leciał przez ulice,
Jak przez ulice Sodomy.

I zgrozą był zdjęty na Franków zaciekłość;
Wtem spojrzał, a przed nim dziewczę nie
[daleko
Szasery z rąk starca wydarli i wleką —
I w piersiach zawrzała mu wściekłość.
Więc z konia zeskoczył,
Odebrał im dziewczę i szablą otoczył;
A ona się cudnym spłoniła rumieńcem,
Gdy stała pod szabli tej wieńcem.

A gdy się szasery złorzecząc cofali,
Rodzicom ją oddał i pognał w czwał dalej.

III.

I zeszli się znowu.
Ścigał gierylasów;
W ramię dostał postrzał śród oliwnych lasów,
Miał więc w Saragosie doczekać się zdrowia.
Koń go niósł do miasta z bojowisk pustkowia,
I stanął przed domem starego alkada,
Gdzie cała rodzina witała go rada
I wdzięczna.

Nad wszystkich urocza Diana
Serdecznem spojrzeniem witała ułana.
Na rzęsach jej błysło radosnych łez dwoje;
Spojrzeli po sobie zmięszani oboje,
Zmięszani, szczęśliwi. — Lecz alkad w dom prosi,
I na cześć ułana wnet puhar wynosi;
Rad nie rad więc został z alkada rodziną,
A skrycie na śmierć się pokochał z dziewczyną.

IV.

Miłego słowa Diana czeka,
Czeka jak zbawienia.

A ułan kocha, milczy, odwleka;
Milczy jak z kamienia.
A gdy się namiętnie jej oczy rozżarzą,
To wonczas ją chłodną powstrzymuje twarzą,
Ból tłumi; ją gniew spłomienia.

A w noc samotny bił się z myślami,
Lica miał blade.
Powstał i jęknął zalany łzami:
»Jutro pojadę.
Nie szukać mi szczęścia, gdy ręki kraj woła —
Dianie o! Boże, daj twego anioła;
Niech ma w nim brata i radę.«

I do komendy udał się z rana,
Rzekł tam: »Wyruszę.«
Ale odgadła piękna Diana
Ułana duszę.
Od bolu i trwogi jak posąg zbielała:
»Jam duszę na wieki i serce mu dała;
Nie pójdzie! wstrzymać go muszę.«

I wprost pobiegła tak do alkada:
»Ojcze ty mój, ginę!
Proś go, by został!« — jękła i pada;
On podniósł dziewczynę,
I pochylił głowę myślami ciężarną,
Na dumne swe piersi rzucił odzież czarną,
I rzekł: »Tyś u mnie jedyne!« —

V.

Już rumak ułana stał przy ostrokole,
Gdy alkad doń przyszedł z zadumą na czole:
»Jedziesz, kawalerze?
Wczoraj mogłem jasno ze słów twoich wnosić,
Żeś mówić chciał ze mną, że mnie chciałeś prosić.
Proszę cię, mów szczerze«.

I głos alkadowi drżał przy każdem słowie,
A ułan stał blady; wnet cicho odpowie:

»Nie, panie alkadzie! —
Mnie kraj woła. — Dzięki za chleb i gościnę!
Wspomnijcie modlitwą, jeśli w boju zginę —
Bóg mnogo nas kładzie«.

»Chłopcze! alkad rzecze — stój! ja cię rozumiem —
Ja tych dwojgiem oczu w duszę patrzeć umiem;
Widziałem od razu.
Diana cię kocha! — kocha — tyś pokochał.
Wiem ja, ileś nocy bezsenny przeszlochał,
W dnie niemy jak z głazu.

»Słuchaj, zostań z nami! — O! głowo ma biedna —
Jak jedno mam życie, córka u mnie jedna;...
Ona kocha ciebie!
Zostań — weź Dianę!« — Ułan zmysły traci —
»Weź córkę i skarby a nie spiesz do braci!« —
Ułan przeklął siebie.

Ale wnet się porwał, wybiegł, jeszcze z progu
Zawołał boleśnie: »Zostawajcie w Bogu!«
Dosiadł, spiął rumaka. —
Diana przez ogród biegła szybkim krokiem,
Alkad, wsparłszy głowę, śledził chmurnym wzrokiem
Wędrownego ptaka.

A gdy ułan jechał przez most murowany,
To Ebro na falach niósł trupa Diany...
Serce się ścisnęło.
Na brzegu stał alkad, w toń patrzał surowo...
Po chwili za miastem nad ułana głową
Kilka kul świsnęło.

1859.

We śnie.

Na nędzę świata serce boleśnie
Drgało mi i złorzeczyło.
Bóg mi zagadkę rozwiązał we śnie;
Gdym zasnął, tak mi się śniło:

Bystremi loty w dalekie wieki
Nagle mnie uniósł duch biały;
Wskazał mi Romę u Tybru rzeki,
W Romie ołtarze gorzały.

Z Romy wypędził Brutus Tarkwina,
Zdarł mu koronę złocistą.
Na respublikę przysięgła gmina,
Na respublikę wieczystą.

I na Kapitol ciągnie gromada,
Wiodą ją Romy bogowie —
Lecz cyt! stanęli — wołają: »Zdrada!...
Zdrajcami Bruta synowie!«

Spokojnie Brutus okrzyków słucha —
Na sprawne skinął liktory,
I cisnął słowem jak gromem z ducha:
»Poostrzcie ciężkie topory«.

Umilkła rzesza, bledną sędziowie,
Brutus z ławicy powstaje;
Rzecze do winnych: »Zdradni synowie,
Podziemnym bogom was daję!«

I na pierwszego skinął liktora
Obrońca Romy surowy:
Dwakroć błysnęło ostrze topora,
Dwu synów upadły głowy...

Znikł sen... Nie gonią od nas Tarkwinów —
Od stali lepsze dziś złoto.
Gdzie pójdziesz, zdybiesz Brutusa synów...
Gdzież ojce z Brutusa cnotą?!

1859.

Budząca różczka.

1.

A kiedy jeszcze świat był młody,
Żyły uroczym snem narody,
I nie pytano się za miedzą:
»A kto? a jacy to tam siedzą?«
I nie szukano krańców świata —
I byłby lud tak prześnił lata.

2.

Bo byle z drzew owoców trochę,
Byle na zagon lekką sochę,
Byle łuczywa na ognisko,
A zdrój przejrzysty płynął blizko;
Już człowiek między swojem stadem
Żył i bez pieśni życiem radem.

3.

Ale rzekł Stwórca: »Niech się budzi« —
I miecz zabłysnął w rękach ludzi,

*

A kogo dotknął, z snu powstawał
Za chatę, lub za ziemi kawał...
I na głos wołał: »Ja tu stoję!
Wara od tego, hej! to moje«.

4.

I krew polała się obficie —
I obudzone ludów życie.
W lot naprężyli łuki strzelcy,
Bohaterowie wstali wielcy,
A świat się zatrząsł w onej dobie,
Gdy dowiedzieli się o sobie.

5.

I szła po ziemi dumna Sława
I poszły zbrodnie, poszły prawa;
A pośród mieczów wstały berła,
Na dyademie błysła perła,
W oczach błyszczały tej dwie siostry —
A wszystko miecz obudził ostry.

6.

Już na narody szły narody;
Powstały z twardych ciosów grody.
Na gruzach grodów mędrcy stali
I krwawe czyny spisywali.

A zaś pieśniarze przy bardonie
Śpiewali pieśń o sławnym zgonie.

7.

I obudziła pieśń mścicieli —
I poszli z mieczem, — poszli — cięli —
A którym ciasno, tych przez morza
Wiodła po skarby nocna zorza.
I pośród krwi i brzęku złota
Stanęła w ciszy biała Cnota.

8.

A z niej duch wyszedł: Poświęcenie —
Blask słońca — w pieśni, w dzieje, w cienie!
I wstała Miłość — Pani wielka, —
Jasna narodów zbawicielka:
Ta powie ludom, kto im bratni
I miecz podniesie raz ostatni.

1 listopada 1859.

Sen króla Jagiełły
pod Tannenbergiem.

Jodły jej dały miano: jakby w dwa ramiona
Wieś i cichą błoń puszcza objęła zielona.
A królowi Jagielle, co z puszcz wielkie dzieje
Swiatu niósł i miłował ciemne Litwy knieje,
Żadne, ile ich w Litwie, w leśnej Polsce ile,
Żadne do snu szemraniem nie grały tak mile,
Jak tannenberskie jodły!

O błogosławiony
Sen twój, królu, i dzień ten! Słońca krąg czerwony
Zapadał w las, na polach cichła boju wrzawa;
Z tem słońcem już krzyżacka schyliła się sława!
Jeszcze lśnią się w promieniach na poległych zbroje:
Legł wielki mistrz, komtury, — spłynęły krwi zdroje;
Z taboru zaś strugami złote wino płynie,
Miesza się z krwią i bryzga na trupów w dolinie,
Co chcieli niem zapijać srom Polski i Litwy,
Gdy zwalczony Jagiełło z ludem pierzchnie z bitwy.
Złote wino pobożny król roztoczyć kazał,
By mu się lud służebny pijaństwem nie zmazał.

Zwycięztwo! wieki miną w Koronie i Litwie,
Nim zapomni lud boży o tej krwawej bitwie.
Trupów mistrza i wodzów szuka Niemiec zbity,
Kędy na płaszczu ujrzy czarny krzyż wyszyty:
»Mistrzu! wodze!« żałosnym nawołuje głosem;
Trupem Bóg zasiał pole gęsto jakby kłosem.
A król, wódz doświadczony, wstrzymuje pogonie:
»W pochód, w pochód na Malborg!« grzmią puszcza
[i błonie,
I ruszyło rycerstwo za królem jak ptacy.
Lecą, a dzień był skwarny, król znużon po pracy
Radby spocząć. Pół dnia się starzec modlił Bogu,
A drugie pół zwycięztwa dobijał na wrogu.

Więc miłym Bogu królem szczęśliwi rycerze
Zsadzają go z rumaka na trawniki świeże.
A był kamień na wzgórzu, toż go siwej głowie
Podłożył król sędziwy na czas za węzgłowie.
Lecz tu nago, — Tannenberg i bór na uboczy,
A wicher od padołów miecie piaskiem w oczy.

Ale to król, co wyrósł na stepach i w kniei:
Spojrzeli, już starcowi sen powieki klei;
Na kamiennem posłaniu pochyla się — drzemie,
Więc rycertwo sztandary w krąg zatyka w ziemię;
Sztandary, na krzyżakach zdobyte tak krwawo,
Niech otoczą śpiącego i ciszą i sławą.

I urósł gaj: już wicher, co wiał w starca włosy,
Złotolite rozwija proporce i kosy;
Z jedwabnych wstęg, jak z ramion jodłowych biesiorów,
Leje muzykę nakształt szumu ciemnych borów,
Lub tajemnemi szmery spiącego otula,
Więc cieszą się, bo widno cichy sen u króla.

A w półśnie król powieki odchyla: las w koło!
Czuje: krzepiące chłody płyną mu na czoło;
Słyszy: potężne drzewa szmer nad nim rozwiodły,
Jakby owe dalekie puszcz litewskich jodły.
Zamknął oczy, spi, marzy, a słodko znać marzy;
Już mu się uśmiech rozlał na sędziwej twarzy,
Śni o rodzinnej Litwie; w borach wzrokiem tonie;
Wiatr mu niesie woń kwiecia i żywiczne wonie,
I jasna jako zorze, jakimś smutkiem rzewna,
Przybliża się z uśmiechem doń polska królewna;
Podaje krzyż,... do sławy wiedzie jak orlica,...
I niknie w mgle. — Wtem stary król nasrożył lica:
Śni mu się, że wyjechał na grundwaldzkie wzgórze;
Patrzy, brat Witołd z wojskiem giną w pyłu chmurze.
Wielki mistrz go pomija, ale z mistrza roty
Pędzi doń na rumaku jakiś rycerz złoty,
Rycerz Dyppold broń wznosi, do walki go wzywa...
»Ha stój, Dyppoldzie!...« Nagle ze snu się porywa.

Zerwał się król; poznaje, co za las w około
Zcicha rzeźwiącym chłodem owiewa mu czoło.

)! nie polskie to dęby, nie litewskie jodły
[aki cudny rozhowor nad głową mu wiodły.
\ni też go bór kiedy owiał takim cieniem,
\ni też kiedy usnął takiem słodkiem śnieniem,
ak pod temi sztandary, co mu na włos biały
Ja polach Tannenberga odpoczynek lały.
[oż o tym śnie do zgonu pamiętał król stary,
odłami zwąc rozpięte krzyżackie sztandary;
nieraz, gdy się w zamku z rycerstwem zabawiał,
) dniach tych polskiej sławy zadumany mawiał:
Nigdy mi tak miłego snu nieba nie dały,
ak tam, gdy mi krzyżackie nad głową szumiały
odły pod Tannenbergiem«.

Słodki sen prześniony!
'rzeszły wieki! — O królu! bądź błogosławiony,
Że taką pieśnią Bóg ci skroń kołysał w śnieniu!
3łogosławionyś, wieku! co w czasów strumieniu
[akiemi w naszej ziemi rozkwitałeś dniami! —
)! kiedyż takie jodły zaszumią nad nami?!...

1860.

Śmierć Zyszki.

Z Czech wyruszyli bracia, panowie
    Na Rakuszana w Morawę.
Na bój ich wiodą wielcy wodzowie,
    Jan Zyszka dzierży buławę.

Jan Zyszka ślepy; niemieckie strzały
    Oczu wyżarły mu dwoje.
Lecz widzi duchem jakby w dzień biały,
    Gdy przyjdzie z Niemcem zwieść boje.

I strasznem wrogów gromi ramieniem;
    Szeroko grzmi o tem sława.
Pierś mu goreje wielkim płomieniem:
    Ten płomień światło mu dawa.

A tym płomieniem szlachetna, święta
    Miłość ojczyzny, cześć Boga.
Wieki hetmana Czech zapamięta
    I nie zapomni kark wroga.

Do Przybysławia przyszli wieczorem
    Rozgrzani bojem i drogą;
W krąg zatoczyli wozy taborem
    I warzą strawę ubogą.

I o zwycięztwach gwarzą weseli,
    O klęsce Niemców i zgrozie...
Jutro, gdy pierwszy promień wystrzeli,
    Będą w Albrechta obozie.

Lecz cyt! wieść głucha gromady mięsza,
    Mięszają tłum rozhowory.
Pod namiot wodza ciśnie się rzesza:
    »Nasz hetman! Zyszka Jan chory!«

Zaniemógł Zyszka po boju srodze,
    Na twardem posłaniu leży;
Do koła niego strapieni wodze
    I orszak smutnej młodzieży.

Ale nie złaman hetman na duszy,
    Choć wie, że przyszła godzina:
Z twardego łoża jak lew się ruszy
    I wodzów tak napomina:

»Czesi, Morawcy, Polacy *) mili,
Serdeczny, druży narodzie!
W ostatniej, bracia, proszę was chwili,
Miłujcie wy się we zgodzie.

»Noście otwarte serca przed Bogiem,
Czyste, jak wasze powietrze.
A kto z was kiedy bratał się z wrogiem,
Niech we krwi hańbę tę zetrze.

»Nie szczędźcie trudu, rąk, ni oręża!
Tchórz tylko spokój wybiera.
Kto ród giermański w boju zwycięża,
Szatanom głowę ten ściera.

»Oni tu wnieśli hańbę, niewolę,
Jak śmierć szatani do raju.
Kłamstwami bożą zasieli rolę,
Cześć ojców wyparli z kraju.

»Toż w boju z nimi nie odetchniecie,
Nie opuścicie ramienia!

---

*) W wojnie przeciw cesarzowi Zygmuntowi, jego zięciowi Albrechtowi i Niemcom, wspierało Hussytów 5000 Polaków pod wodzą księcia Zygmunta Korybuta.

A nienawidzić ród ten będziecie
We setne aż pokolenia!

»Gdy skonam, ciało moje ciśnijcie —
Niech sępom na żer posłuży.
Skórą z mych barków bęben pokryjcie,
Niech, bębniąc, Niemcom zgon wróży!«

Tak rzekł i skonał, i zwiesił głowę
Na pierś ostygłą bez tchnienia.
Ale hetmana słowa gromowe
Z pokoleń grzmią w pokolenia.

I zawsze rolnik w nocy majowej,
Gdy zanocuje na błoni,
Słyszy w powietrzu bęben Zyszkowy,
Bijący na gwałt: do broni!«

1862.

Sen ziemi.

Niebiosa lśnią gwiazdami,
Jaskrawo księżyc lśni,
Śnieg pada brylantami,
Pod śniegiem ziemia spi.

Spi cicho utrudzona
Mocą jesiennych burz;
Z niebios jej sny do łona
Zesyła księżyc — stróż.

I śni się jej, że wdziewa
Czarowny wiosny strój,
Że słowik pieśń jej śpiewa,
I szemrze srebrny zdrój.

I śni, że ją miłuje
Nad wszystkie światy Bóg.
W błękity śniąc wstępuje;
Przechodzi niebios próg.

I śni, że ją wulkany,
  Rozdarły wszerz i wzdłuż,
Że ogniem zieją rany,
  Wspienione bezdna mórz.

I śni, że jest strącona
  W otchłanie, w czarną toń;
I leci przerażona, —
  O gwiazdy trzaska skroń!

Wstrzęsła się, więc kojące
  Stróż wierny sny jej śle:
Stróż ją w kłosy drżące,
  We srebrnej kąpie mgle.

1863.

Świerk i palma.

(Heine, księga pieśni).

Ze skał północnych korony
Samotny tam świerk się wzbija.
Senno mu; w białe osłony
I śnieg i lód go obwija.

O palmie śni on dalekiej,
Która we wschodniej krainie
Milcząc usycha od spieki,
Samotna na skał wyżynie.

1863.

Dobry towarzysz.

(Z Uhlanda).

Miałem ci ja towarzysza,
Za takim zejść by świat!
Do boju bębny grzmiały,
On przy mnie kroczył śmiały,
Nad wszystkie chwaty chwat!

Wtem patrzę — granat leci —
Któregoż zepchnie w dół?...
Jego mi w pierś uderzy!
Już u nóg moich leży,
Jak mego serca pół!

Wyciąga ku mnie rękę,
Gdy trębacz zagrał: *tuj!*
— Ręki ci dać nie mogę.
O! miej szczęśliwą drogę
Do nieba, druhu mój!

1863.

Dla ludzi.

Póty nam szczęścia i póty wesela,
Póki nas domek rodzinny nie znudzi: —
Miałem kochankę — matkę — przyjaciela,
Jam w świat spoglądał, chciałem żyć »dla ludzi«.

KOCHANKA

— »Ty kochasz ludzi? — Luby, świat jest głazem!
Miłość przysięgasz? O nie zwodź mnie kłamnie.
Luby! ty kochasz? więc będziem żyć razem;
Luby! ty kochasz? więc będziesz żyć dla mnie«.

MATKA

— »Chcesz żyć dla ludzi? żywot wieść tułaczy?
O! może, dziecię, świat ten zdradzi ciebie,
Ty zginiesz marnie, ja umrę z rozpaczy...
O żyj szczęśliwie, synu! żyj dla siebie!...«

KONIEC TOMU I.

Spis przedmiotów
I. Tomu.

